WBP im. J. P. w Łodzi

Łódź
Odgłosy

Nr 9 (1694)
Rok I (XXXIV)
21 lipca 1991 r.
Cena 3000 zł

Znaleźć swój styl bez ubrania – to już wymaga talentu

Raj na Weststreet

Wbrew temu, co na ten temat sądzą uczeni teologowie, piekło prawdziwe to przede wszystkim brak kobiet, zwłaszcza młodych i pięknych. Dlatego szatan przybiera zawsze postać męską, wzbogaconą dla niepoznaki w rogi, kopyta i ogon – atrybuty zbydlęcenia. Widocznie prawdę tę dawno uświadomili sobie mahometanie i ich raj zaludniony jest huryskami, co się wykłada z turecka: świetlno-białe. Świetlistej urody, świeżo rozkwitłe dziewice, o pełnych słodyczy, omdlewających spojrzeniach są nagrodą dla zbawionych. Koraniczne piękności nie starzeją się ani nie podlegają skalaniu, zachowując na wsze wieki klejnot dziewictwa.

Przepustka do łódzkiego raju przy Weststreet kosztuje zaledwie pięć tysięcy złotych i ma kształt niewielkiego, metalowego prostokącika z elektronicznym szyfrem. Wrzucenie ciemnej blaszki do specjalnego otworu w zasuwanej kotarą kabinie powoduje otwarcie przeszklonego, kwadratowego okienka, przez które w ciągu jednej minuty można paść wzrok widokiem kobiecych wdzięków. Zza przegrody dobiega dyskotekowa muzyka, na miniaturowej estradzie ogrodzonej lustrami nieustannie zmieniają się i wirują światła, pląsająca dziewczyna przegina się i obraca ukazując coraz więcej tajemnic swego ciała. Nie jest to fotoplastikon, kobieta za szybką jest żywa i ciepła, po pracy ubierze się i pójdzie do domu, ale jest równie jak na stereoskopowym obrazku niedostępna. Zapobiegliwi kupują kilka żetonów naraz, aby przedłużyć migawkowy spektakl. Elektronika nie myli się, skrupulatnie zaliczając wrzucane numerki, tyka bezgłośnie niewidzialny zegar i gdy minie opłacony czas, na okienko nasuwa się czerwona przesłona.

Twórcą tego rajskiego teatrum dla ubogich i bogatych, dla rodaków i cudzoziemców jest pan Sławek, wciąż kawaler, lat trzydzieści trzy. Zresztą jeszcze w tym miesiącu zmieni stan cywilny, a jego wybranką jest plastyczka, mająca artystyczny wkład w bezprecedensowe przedsięwzięcie, które ostatnio znalazło naśladowców we Wrocławiu. Jej smakowi skromne, choć gustowne wnętrza, zawdzięczają swój estetyczny wygląd. Nastrój budują przytłumione światła, dyskretne napisy, kotary i chodniki oraz długa lada baru, gdzie serwuje się drinki, praktycznie bezalkoholowe. Najmocniejszym trunkiem jest piwo. Można tu kupić pilznera za piętnaście tysięcy i w tej samej cenie bohemię albo tańszego o kopernika steffla. Są także niskoprocentowe musujące wina i gazowane napoje chłodzące oraz sło-

Cd. str. 6

W numerze m.in.:

◆ Maria, czyli kwadratura seksu – nowa powieść!!!
strona 16

◆ Dlaczego Andrzej Słowik wystąpił o odszkodowanie?
strona 3

◆ Zajazd na Piwnej
strona 4

◆ Video-piraci śmieją się w kułak
strona 5

◆ Prezes Janusz Baranowski wstąpił na arenę
strona 7

◆ Intymny świat Ewy Kuklińskiej
strona 9

◆ Kiedy Walens był cesarzem?
strona 10

ff
PRZEDSTAWICIELSTWO FIRMY FORD
zaprasza do sklepu
Z CZĘŚCIAMI ZAMIENNYMI
Łódź, ul. Julianowska 20
godz. 9.00-17.00, tel. 57-79-44
17.00-21.00, tel. 57-80-07

Firma MARWEN
OFERUJE
szeroką gamę
MARMURÓW
polskich i greckich
o pięknej, niespotykanej fakturze:
na ściany ● posadzki ● kominki
● parapety ● elewacje –
z błyskawicznym terminem realizacji – w cenie od 70 000 do 450 000 zł za 1 m²
95-020 Andrespol k.Łodzi
ul. Rokicińska 148 B
tel. Łódź 13-22-79

Prasa plotkuje zamiast informować?

Hyundai w wersji skandal

Rozmowa z prezydentem Miasta Łodzi – Grzegorzem Palką

Podczas rozmów „Solidarności" z delegacją rządową w Łodzi uznał pan, że sprzedaż „Bistony" Włochom za 2 miliony dolarów to dobry interes. A wcześniej nie chciał pan w Łodzi „Levi-Straussa". Na czym oparł pan swój pogląd, że to jest dobry interes?

– Po pierwsze. Chciałem „Levi-Straussa". Niech pani nie powtarza czarnej propagandy Klubu WKO. Nie chciałem natomiast ulg podatkowych dla ekspansji handlowej tej firmy. Po drugie. Problem łódzkiego przemysłu włókienniczego polega na tym, że nie ma zbytu na jego produkty. To powoduje, że część majątku produkcyjnego włókiennictwa: nieruchomości zbudowane na użytek tego przemysłu – mają wątpliwą wartość. Jeśli nie ma tam produkcji, jeśli „nie robi się tam pieniędzy", to kto to kupi? Trzeba byłoby wprowadzić tam inny rodzaj produkcji, ale to wymaga nakładów, rozeznania rynku i tak dalej. Zatem zasadność transakcji polega nie tyle na cenie, która rzeczywiście była niska...

– Zatem pan to dostrzega.

– Oczywiście. Ale to była cena, która przychodzi z rynku i odzwierciedla realną wartość majątku fabrycznego w sytuacji, kiedy nie ma rynku na produkty włókiennicze.

– I tylko to decydowało?

– Nie. Decydującym czynnikiem był program inwestycyjny, jaki włoska firma przedstawiła w liście intencyjnym do Ministerstwa Przekształceń Własnościowych. Jest to program wartości 120 miliardów dolarów i zatrudnienia dla 3,5 tysiąca ludzi.

– Jeśli Włosi dotrzymają warunków umowy.

– Zgoda. Ale, po co im byłaby potrzebna taka nieruchomość, gdyby nie mieli rozwinąć produkcji na planowaną skalę? Dokonali szczegółowych uzgodnień dotyczących ochrony środowiska i infrastruktury. Wszystko wskazuje, że jest to poważny partner.

Natomiast „Levi-Strauss" nie występował z żadną propozycją wobec „Bistony", ani z podobnym programem inwestycyjnym.

– Tak. Mnie chodzi o jego zamiar kupna budynków po Zakładach im. Andrzeja Struga.

– Ceny proponowane przez „Levi-Straussa", zarówno w Łodzi, jak i w Pabianicach, były bardzo niskie. Zakłady „A. Struga" zostały sprzedane innemu zagranicznemu kontrahentowi znacznie korzystniej. Zasadniczą różnicą między tymi transakcjami jest fakt, że „Legler" nie zaczyna swej działalności od ekspansji handlowej i nie zdobywa środków na inwestycje, eliminując z rynku rodzimych wytwórców.

– Jeśli zatem padną następne fabryki włókiennicze, to może okazać się, że też zostaną sprzedane po niskich cenach?

– Tak może być. Decydować będzie program inwestycyjny, a co za tym idzie, miejsca

Cd. str. 4

Sadolin
INTER NTER BAZAR®
Preparaty do zabezpieczania i barwienia drewna firmy „SADOLIN" – Dania
Nietoksyczne lakiery do parkietów i boazerii półmatowe i z połyskiem
Farby kryjące ogólnego stosowania matowe i z połyskiem firmy
„PAUL MITTERMAYER" – RFN
Oraz wiele innych preparatów niezbędnych w każdym domu
impregnaty barwiące do drewna
transparentne barwiące lakiery do drewna
pianka poliuretanowa do montażu drzwi i okien
kleje do tapet
wewnętrzne farby emulsyjne
lakiery poliuretanowe do parkietów połysk i półmat
lakiery ogólnego stosowania w aerozolach
kleje do terakoty i glazury
zewnętrzne farby dyspersyjne
mipa Lacke & Farben
Sklep firmowy – Łódź, ul. Łagiewnicka 45a tel. 57-82-39

Widziane z Łodzi

● Ruszył kalendarz wyborczy. Rozpoczęła się kampania wyborcza. Powstają różne przedwyborcze koalicje. Definitywnie zakończył się spór między Belwederem a Sejmem o kształt ordynacji. Spór toczył się głównie o to, czy wyborcy będą głosowali na konkretnych kandydatów, czy na partie, które później desygnują posłów do Sejmu. Zwyciężyła pierwsza koncepcja. Sejm RP odrzucił kolejne prezydenckie poprawki. Za przyjęciem tych poprawek głosowali posłowie OKP i PAX. **Bronisław Geremek,** zapytany przez dziennikarzy, czy spodziewa się kolejnej prezydenckiej inicjatywy, odpowiedział: – *Raczej nie. Lipiec i sierpień to dobra pora na ryby.*

● 29 dni trwał strajk w „Fonice" w Łodzi. Zakończył się po wizycie premiera Jana Krzysztofa Bieleckiego. Zwyciężyła koncepcja rządu i Komitet Strajkowy zgodził się na likwidację zakładu. W jego miejsce powołane będzie nowe przedsiębiorstwo jako spółka akcyjna. Załoga „Foniki" będzie miała pierwszeństwo w zakupie akcji. Część majątku fabryki będzie sprzedana i uzyskane w ten sposób pieniądze pokryją długi przedsiębiorstwa. Premier Jan Krzysztof Bielecki sprzeciwił się postulatom „Foniki" w sprawie wprowadzenia ceł zaporowych. Argumentował, że „Polska nie może zostać otoczona kordonem celnym. To do niczego nie prowadzi, bo wtedy nikt nie będzie chciał z nami handlować".

● Komisja Likwidacyjna RSW zmieniła zdanie i „Trybuna", „Chłopska Droga" oraz „Życie Żyrardowa" pozostaną przy Spółce „Ad Novum". Spółka ta zobowiązała się do uregulowania należności do końca 1 lipca 1991 roku.

● Sejmowe Biuro Studiów i Ekspertyz stanęło na stanowisku, że obowiązujące przepisy prawa nie upoważniają prezesa Komitetu do spraw Radia i Telewizji do postawienia w stan likwidacji państwowej jednostki organizacyjnej, jaką jest Polskie Radio i Telewizja. Decyzję taką może podjąć tylko Sejm RP w formie ustawy. Innego zdania w tej sprawie jest Biuro Prawne Rady Ministrów. Posłowie z sejmowej Komisji Kultury i Środków Przekazu postanowili wystąpić do premiera z prośbą o rozstrzygnięcie sporu. Może w ten sposób dowiemy się, kto lepiej zna polskie prawo?

● 22 lipca 1991 roku minie 35 lat od chwili powstania w Łodzi telewizji. Stało się to w niedzielę 22 lipca 1956 roku o godzinie 16.00, kiedy to pierwsza spikerka Ośrodka Telewizyjnego w Łodzi – Aniela Brzeska zasiadła przed kamerą i powitała niewielkie grono telewidzów ze śródmieścia Łodzi. Nadano przedpremierowy pokaz Polskiej Kroniki Filmowej, w której odnotowano 10 lat istnienia Łódzkiej Rozgłości Polskiego Radia oraz film fabularny. „Głos Robotniczy" zapowiadał, że będzie to „Nikodem Dyzma" Jana Rybkowskiego, a „Trybuna Ludu", że „Tajemnica dzikiego szybu" Wadima Berestowskiego. W listopadzie 1956 roku w Łodzi było zarejestrowanych 300 odbiorników telewizyjnych. Na początku ośrodek telewizji w Łodzi stanowiła malutka redakcja przy Łódzkiej Rozgłości PR. Tak się zaczęło.

● Telewizyjne „Wiadomości" podały, że truskawki marnują się na plantacjach. Rolnikom nie opłaca się ich zbierać, bo ceny są niskie. Gospodarka rynkowa – jak z tego widać – nie wyklucza klęski urodzaju, choć w tym roku jest mniej truskawek niż w poprzednim.

● Władze Szkoły Głównej Handlowej (dawna Szkoła Główna Planowania i Statystyki) podjęły decyzję, że trzeba płacić za uczęszczanie na zaoczne studia. Studia na Wydziale Ekonomiczno-Społecznym mają kosztować 8 milionów zł rocznie, a a studia na Wydziale Handlu Zagranicznego – 5 milionów zł za jeden semestr. Jest to decyzja sprzeczna z obowiązującą Konstytucją RP.

● W bloku komunalnym przy ul. Wodnej w Łodzi wystawiono na przetarg 46 mieszkań. Cena wywoławcza: 3 miliony zł za metr kwadratowy. Do przetargu zgłosiło się 20 chętnych. Sprzedano 16 mieszkań. Mieszkanie trzypokojowe o powierzchni 64 m kwadratowych sprzedano za 203 miliony zł. Była to najdroższa transakcja. Przetarg miał dać odpowiedź na pytanie, czy w Łodzi są warunki dla rozwoju budownictwa komercjalnego? Wstrzymano się z oficjalną wypowiedzią na ten temat. Zresztą fakty mówią same za siebie.

B.M.

Odgłosy

Tygodnik „Odgłosy"
Radaktor naczelny Mirosław Kuliś
Wydawca: „Odgłosy-Press" S.C.
90-113 Łódź ul. Sienkiewicza 3/5
☎36-52-44
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Naga biedna

Jak tylko sięgam pamięcią, decydenci od kultury, ale i także publicyści, utwierdzili w nas przekonanie, że mamy w Polsce najlepszą telewizję na świecie. Indoktrynacja była na tyle skuteczna, że przecież wierzyliśmy, iż tak jest naprawdę. Nawet jeszcze dzisiaj, kiedy ów mit roztrzaskał się w pył, pan poseł Andrzej Kern próbował z trybuny sejmowej bronić tej dziupli z małym ekranem, przywołując stare zaklęcie. A co może świecić w dziupli?

Od zawsze też pisanie źle o TVP służyło jako swego rodzaju dziennikarski eufemizm. Telewizja pełniła rolę pochyłego drzewa, na które w miarę do woli można było skakać i uchodzić za odważnego. Władza się tym specjalnie nie przejmowała, bo telewizję otoczyła murem nie do skruszenia, a krytyczne teksty służyły za poręczny przykład „socjalistycznej demokracji", i „wolnej" prasy. Oczywiście i tu nierzadko minowano teren: wtedy trzeba było poruszać się wytyczonymi przez cenzorów ścieżkami, ale i wówczas możliwe były, niebezpieczne bo niebezpieczne, kaskaderskie popisy.

Mimo to, można rzec o telewizji pisało się łatwo i przyjemnie, bo oprócz tego, że była niewyczerpanym źródłem dla felietonowych konceptów, także upowszechniała przecież – czemu tylko ślepy mógłby zaprzeczyć – to, co w kulturze tamtych lat było najlepsze. Tu na marginesie: świetnej książce-diariuszowi o „kulturze polskiej po Jałcie" można właśnie zarzucić, że autorka, czyli Marta Fik, o dokonaniach telewizji całkiem zapomniała. A TVP przez przeszłe dziesiątki lat realizowała i świetne spektakle teatralne, i upowszechniała dobry, konkurencyjny dla kin, repertuar filmowy. Sama zresztą produkcją filmów się zajmując, dawała możliwość debiutu dzisiejszym gwiazdom polskiej kinematografii. Taki rejestr „TVP po Jałcie" wart byłby grubej księgi, w której oczywiście znalazłoby się miejsce na część „białą" i część „czarną" (hasłem „telewizja kłamie" kontrowano tę instytucję, mniej lub bardziej jawnie, od czasów Sokorskiego po prezesurę Urbana).

Ostatnio wybuchły spór o to najbardziej masowe w Polsce medium jest dyskusją między pragmatykami i idealistami. A rację mają, chciałoby się dodać – niestety, jedni i drudzy. Pierwsi, czerpiąc z dotychczasowych doświadczeń (w innych zakresach jednoznacznie krytykowanych) uważają, iż państwowa (czytaj: rządowa) telewizja powinna nie tylko rządzących wspierać, ale także ich chronić; objaśniać i perswadować opinii publicznej „jedynie słuszne" opinie i ideowe dyrektywy. Wedle niepisanej dyrektywy „czyja władza, tego telewizja" (nikt do niej publicznie się nie przyzna). Tak było w Polsce zawsze i tak jest obecnie, choć od czerwca 1989 można zauważyć większą dbałość o pozory (tu wyżej trzeba oceniać Andrzeja Drawicza; prezes Terlecki od czasu „tajemniczej" depeszy PAPa o dymisji jakby stracił na niezależności).

Idealiści natomiast (wywodzą się – co też jest regułą – z obozów opozycji, albo ze środowisk dopiero o władzę w Polsce kompetujących) przekonują, iż telewizja choć państwowa winna być i społeczna, tzn. taka, która obiektywnie, bez przywilejów i preferencji dla jakiejkolwiek opcji politycznej, wyraża rozmaitość społecznej świadomości. Postulują taką telewizję zdając sobie przecież sprawę, że programują utopię. Nawet wtedy, gdy zostanie przełamany perswazyjno-informacyjny (mówiąc mniej elegancko: propagandowy) monopol Radiokomitetu. I nawet wtedy, gdy wprowadzi się, załóżmy że najlepsze, ustawy w tym zakresie. Możliwości manipulacji informacją są tak bezgraniczne, iż nie ma praktycznie sposobu, aby jej subiektywizm całkowicie wyeliminować. Nie rozwiąże tej sprawy także kapitalistyczna prywatyzacja II programu: i tu będą decydować wpływy i naciski. Igraszki trafu władzy i miłości pieniądza są stare jak świat.

Niechaj sobie będzie zatem telewizja państwowa, byle lepsza, zasobniejsza i odpowiedzialna, byle profesjonalna i uczciwa w socjotechnicznych grach z publicznością. Ale także, czym prędzej tym lepiej, należałoby tworzyć warunki do powoływania konkurencyjnych stacji technicznych. Chętnych ponoć jest wielu. Niechaj odbiorca ma przynajmniej taką możliwość wyboru jak czytelnik prasy w Polsce. Może czytać i „Tygodnik Solidarność" i „Tygodnik Powszechny", „Politykę" i „Ład", „Nie" i „Słowo Powszechne". Kupując określony tytuł przecież wie, czego w nim może się spodziewać: chociaż mu wmawiają, że są obiektywnymi nośnikami najsłuszniejszych prawd, ma zawsze sposobność tych prawd weryfikacji i porównania. Obecna telewizja takiej sposobności rozmaitych punktów widzenia nie daje (i tu konfrontacja działań prezesów Drawicza i Terleckiego wypada mało korzystnie dla tego drugiego), a nawet często ów jeden, preferowany punkt widzenia zdaje się mieć ograniczoną perspektywę.

Spór między Sejmem a Radiokomitetem jest w istocie rzeczy sporem, w którym prezes Terlecki jest tylko pełnomocnikiem, osobą per procura. I przed październikowymi wyborami się nie skończy. Na potem muszą chyba odłożyć swoje zamierzenia pomysłodawcy pozapaństwowych stacji telewizyjnych.

A my, zwyczajni przeżuwacze obrazków z małego ekranu? Codziennie możemy sobie pooglądać dziennik BBS i CNN. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa: o Polsce nie mówią wcale, a jeśli już to mało i po angielsku. Nikt nie czuje się obrażony: nie trzeba organizować replik i wygłaszać oświadczeń.

Grzegorz Gazda

Jan Krzysztof Bielecki w Łodzi: „Nie znam sprawy"

Premier jest niewierzący

– Czy zechciałby Pan premier zająć stanowisko wobec konfliktu jaki zaistniał między wojewodą łódzkim Waldemarem Bohdanowiczem a prezesem Zakładu Ubezpieczeń „Westa" Januszem Baranowskim?

– Nie znam sprawy.

– Dyrektor Biura Prasowego Rządu Jacek Kozłowski poinformował mnie, że zdążył Pan zapoznać się z publikacjami na ten temat, które wręczył Panu dziś rano wojewoda.

– Jest to sprawą wewnętrzną Łodzi.

– Prezes Baranowski wyraził wotum nieufności wobec wojewody i zagroził bankructwem wielu łódzkim zakładom.

– Nie znam sprawy. Jeśli dojdą mnie słuchy o konflikcie między obu panami, zainteresuję tym swoich ludzi. Baranowski to cwaniak. Dzisiaj natomiast miałem okazję przyjrzeć się pracy waszego wojewody. To co zrobił w Dywilanie jest nieudolne. Z jakiej Pani jest gazety?

– „Odgłosy"

– Co to za pismo?

– Tygodnik społeczno-kulturalny.

– O jakiej orientacji?

– Jesteśmy niezależni.

– To niemożliwe. Kogo popieracie – Mazowieckiego?

– Nie popieramy nikogo, jesteśmy niezależni.

– Nie wierzę w to.

– Zajmujemy się sprawami, które nurtują mieszkańców tego miasta, między innymi sprawami „Foniki" czy „Bistony". Czy Pan także uważa, że sprzedaż „Bistony" za 2 miliony dolarów to dobry interes?

– Nie znam sprawy.

– Zakupem „Bistony" interesowało się trzech oferentów. Do przetargu przystąpiła włoska firma Legler oferująca 2 mln. dolarów, Polacy, którzy odstąpili od przetargu, ponieważ postawiono im zbyt duże wymagania i niemiecka firma oferująca 9 mln. dolarów.

– 7 mln. różnicy... W tej chwili bardzo trudno jest znaleźć nabywców, robimy więc wszystko, aby chociaż stworzyć jakiś ruch w tym interesie.

– Dodam, że Włoch interesował się „Bistoną" już 1,5 rok temu. Czy w związku z tym nie powinniśmy wynegocjować wyższej ceny?

– Być może Włoch proponował lepsze warunki. Proszę przysłać mi publikacje o „Bistonie", chętnie zapoznam się z tą sprawą.

(Rozmowa nie była autoryzowana)

Z taśmy spisała:
Beata Kostrzewska

Przegląd prasy

Jacek Kuroń: Komuniści prawie natychmiast dawali szansę awansu.

Sejm odrzucił drugie weto prezydenta, wszystko na razie wskazuje więc na to, że za cztery miesiące dojdzie do wyborów według spornej ordynacji. Chyba, że prezydent wykroczy poza literę obowiązującego prawa, co doprowadzi do zahamowania rozwoju kształtującej się dopiero demokracji w Polsce. Czy grożą nam rządy silnej ręki, czy możliwy jest przewrót?

Marszałek Sejmu, **Mikołaj Kozakiewicz,** odpowiada na to pytanie (we „Wprost" nr 28) przecząco, choć bez przesadnej pewności siebie:

„Jak dotąd na przewrót się nie zanosi. Dopiero gdyby została złamana konstytucja, można by o tym mówić. Ale na razie prezydent działa zgodnie z prawem i nie mogę mu czynić żadnych zarzutów. Zarzuty dotyczą raczej jego wypowiedzi, a nie czynów i decyzji.

– Ostatnio prezydent mówił jednak również o „rozciąganiu prawa" (pyta Kazimierz Pytko – przyp. AG)

– Usłyszałem też, skierowaną do mnie wypowiedź: „Prawo jest dobre na normalne czasy, ale prawo może przeszkadzać w czasach wyjątkowych". Nic na to nie odpowiedziałem, bo musiałbym powiedzieć tylko jedno: pierwszy przypadek kiedy prawo uzna się za iluzoryczne, będzie w Polsce końcem demokracji".

Podobnie niepewny jest marszałek, jeśli chodzi o określenie nastrojów, jakie przeważają w społeczeństwie:

„Historia zawsze może się powtórzyć, ale nigdy nie musi. Być może niektórym ludziom, nie mam tu na myśli prezydenta, zależy na tym. Zwolennicy nadmiernego przyspieszenia chcieliby wręcz, żeby proces, który przed wojną trwał pięć lat (1921-1926), przebyć teraz w dwa lata. Pewna część społeczeństwa również pragnie rządów silnej ręki, inna – absolutnie zdezorientowana, nie wiedząca – na skutek manipulacji informacją, zwłaszcza w TV – o co chodzi w tym sporze, dziwi się, dlaczego Sejm trwa w uporze. Nie potrafię odpowiedzieć, czy zwolennicy silnej ręki przeważą".

A gdyby przeważyli? **Jacek Kuroń** („Polityka" nr 28), nie wypowiadając się na temat szans przeprowadzenia antydemokratycznego przewrotu, ocenia jednak jako zerowe szanse na jego końcowy sukces:

W Polsce silna ręka jako skutek daje nieporządek. Nie zamykam oczu na rzeczywistość i mogę wyobrazić sobie, że jakieś siły polityczne zdobędą władzę w sposób niedemokratyczny, ale wynikiem będzie anarchia i bałagan, a nie porządek (...) Dyktatura w Polsce oznacza, że wszystko ucieka w patologię. Jeśli więc ktoś myśli, że jest to właściwa droga do budowania klasy średniej i kapitalizmu, to znaczy, że stoi na głowie i macha nogami".

Jaka jest rada na uniknięcie niszczącej dyktatury? Zdaniem Jacka Kuronia, nie ma innego sposobu, jak ukazanie drogi awansu społecznego dla znaczących grup obywateli:

„Komunizm w momencie startu dawał, i to rzeczywiście dawał, szanse awansu wielkich mas społecznych. My takiej propozycji dziś nie mamy i mieć nie możemy. Nie możemy mieć innej propozycji, niż taka, że ten awans dokona się w pewnym długim procesie i wykwalifikowani robotnicy, przyszli farmerzy, ludzie pracujący w obsłudzie rolnictwa, inteligencja – staną się klasą średnią. Mówiono, że komuniści obiecywali owoce w przyszłości, ale oni prawie natychmiast dawali szanse awansu. A my mówimy o długim procesie przebudowy. Zgadzam się, że to może się wydać mało atrakcyjne. I teraz problem sprowadza się do tego, czy nasz program przebudowy gospodarczej i politycznej będzie skonstruowany tak, by mogły w nim uczestniczyć duże grupy społeczne. Jeżeli będą uczestniczyć, to już będzie dla nich awans".

Jacek Kuroń nie wyklucza jednak klęski.

„Tragedią naszą jest to, że żadnej nabrzmiałej społecznej sprawy nie można rozwiązać już w ciągu pół roku czy roku. W każdej możemy podjąć takie działania, które za dwa, trzy lata przyniosą pewne, czasem niewielkie efekty. Potrzebny nam jest sensowny, wieloletni kontrakt społeczny, np. trzyletni. Pytanie – czy społeczeństwo zechce się na te trzy lata umówić? Czy już nie mamy do czynienia z taką presją i walką interesów, która to wszystko rozwali? Po prostu rozwali, bo nikt nie ma innej lepszej propozycji."

A jeśli nie rozwali? Cóż, poczekajmy, czy za trzy lata pokażą się jakieś „pewne, czasem niewielkie efekty"...

AG

„Nie walczyłem o pieniądze dla siebie”

Buntuje się przeciwko „grubej kresce”

Andrzej Słowik został aresztowany 13.12.1981 r. w siedzibie Zarządu Regionu. 30.12.1981 r. otrzymał wyrok Sądu Wojewódzkiego: 4,5 roku więzienia. W wyniku rewizji nadzwyczajnej Prokuratury Generalnej z 16.03.1982 r. wyrok przedłużono do 6 lat, a w 1983 r. na mocy amnestii zmniejszono o połowę. 24.07.1984 r. po 2 latach, 7 miesiącach i kilku dniach wyszedł na wolność. W czerwcu 1991 r. Sąd Wojewódzki w Łodzi w sprawie o odszkodowanie i zadośćuczynienie strat moralnych i materialnych przyznał Andrzejowi Słowikowi 182 mln zł.

– Kwestia Pańskiego odszkodowania wywołała w całym kraju wiele dyskusji, nieporozumień i wręcz ataków na Pana. Jakie były podstawy prawne Pańskiej sprawy?

– Zostałem aresztowany 13 grudnia '81 około południa w czasie prowadzenia działalności związkowej, którą sąd uznał za przestępstwo. Jednak w momencie mojego aresztowania „prawo stanu wojennego” nie było jeszcze znane nikomu poza grupką jego autorów. Ten fakt został udokumentowany i udowodniony przed sądem. Dowodami były stenogramy audycji radiowych i telewizyjnych, a więc jedynych środków, za pomocą których to „prawo” mogło docierać. Istotne były również informacje, o której godzinie rozlepiano w Łodzi obwieszczenia o wprowadzeniu stanu wojennego. Już w trakcie procesu w 1981 r. obrońcy podnosili ten wątek. Sędzia Dominikowski zadecydował wtedy o skreśleniu z aktu oskarżenia daty 13 grudnia. Dekret o stanie wojennym, który ukazał się 13 grudnia, na sali sądowej w pewnym momencie zaczęto nazywać dekretem z 12 grudnia. Mój tytuł do odszkodowania wynika więc z manipulacji sądu z antydatowaniem tego dekretu. Obecnie udowodniono, że skazano mnie na mocy dekretu, którego de facto nie było w chwili aresztowania. Prawnicy, osądzając mnie, popełnili przestępstwo, złamali elementarną zasadę „prawo nie działa wstecz”.

– Kim byli ci ludzie?

– W moim przypadku (wymieniam tylko wykonawców a nie rozkazodawców) byli to: prokurator Janusz Ekiert, który prowadził śledztwo trwające około 4 godzin, prokurator Jacek Rządkowski z własnej woli, z widoczną satysfakcją i przyjemnością, oskarżający mnie w Sądzie Wojewódzkim w Łodzi, który żądał 12 lat więzienia, sędzia Zdzisław Dominikowski, który przewodził składowi sędziowskiemu i został w nagrodę mianowany na sędziego Sądu Najwyższego, prokurator Józef Żyta, który wniósł rewizję nadzwyczajną, dokładając mi jeszcze 1,5 roku do wyroku sądu łódzkiego oraz cały skład Sądu Najwyższego.

Moim obrońcą był w roku 81 i w obecnej sprawie mecenas Mirosław Olczyk (dwaj pozostali, broniący mnie w 81, zmarli – Wiesław Ożadowicz i Lech Mazur).

– Jaki dla Pana osobiście istnieje kontekst moralny tej sprawy? Czy jest to forma wymierzania sprawiedliwości na własną rękę pod hasłem: biorę pieniądze i przeznaczę je na szlachetny cel?

– Ja nie mam wyrzutów moralnych z powodu wystąpienia o odszkodowanie. Wprost przeciwnie, właśnie z powodów moralnych wystąpiłem. Spotykałem się z wieloma ludźmi, którzy żądali rozliczenia nomenklatury i osób odpowiedzialnych za bezprawie poprzedniego okresu. Takie głosy słyszę również i teraz. Wyczerpałem swoje możliwości zarówno indywidualnego jak i instytucjonalnego oddziaływania na rzecz spełnienia tych oczekiwań. Można było podejmować jeszcze 15 takich uchwał, jakie podejmowała Komisja Krajowa czy różne ugrupowania polityczne i praktycznie nic z tego nie wyniknęło.

Traktuję swoje działanie jako przejaw buntu przeciwko całej koncepcji politycznej tzw. „grubej kreski” i „państwa prawa”, reprezentowanej przez rząd T. Mazowieckiego. Nie mogę się z tym pogodzić. Prawo niemieckie z okresu hitlerowskiego też było prawem i zostało potępione przez cały cywilizowany świat. Moje działanie jest konsekwencją faktu, że skoro ustawodawca był na tyle bezczelny, by na oczach całego świata łamać prawo, to należy z tego wyciągać wnioski po to, żeby ani teraz, ani w przyszłości nikt nie pokusił się o podobne działania.

– Czyli te dyskusje, głosy oburzenia wokół Pańskiej sprawy są poniekąd skutkiem, jakiego Pan oczekiwał?

– Tak. Chciałem, by ta sprawa stała się głośna. Tylko okazuje się, że ciosy nie zostały wymierzone we właściwą stronę. Nie walczyłem o pieniądze dla siebie. Tym wszystkim, którzy dopatrują się jakichś niecnych intencji z mojej strony, „kupczenia” patriotyzmem czy swoim cierpieniem, zadaję pytanie: co z ludźmi, którzy wydawali takie wyroki? Nie byli to ślusarze czy ogrodnicy tylko wykształceni prawnicy, którzy zdawali sobie sprawę z tego, co czynią. Co z autorami tego „prawa”? Żyją, mają się nieźle w tej chwili, z Jaruzelskim na czele. Weźmy przykład z kraju cywilizowanego, europejskiego-Niemiec, gdzie przed oceną swoich współobywateli, ludzi kulturalnych i cywilizowanych Erich Honecker uciekł do Moskwy. A w Polsce? Albo jesteśmy w Europie, albo nie. Jaruzelski musi być oceniony za to, co zrobił. Jeżeli nie, to w dalszym ciągu będziemy żyli iluzjami, że posiadamy prawo, że jesteśmy państwem praworządnym. Chciałbym żebyśmy byli państwem praworządnym a nie „państwem prawa”.

– Najgorsze jest jednak to, że odszkodowanie wypłaci państwo z kieszeni podatników, a kara i tak nie dotknie ani rozkazodawców, ani wykonawców „prawa stanu wojennego”.

– Nie może być sytuacji, w której zapadnie kurtyna milczenia nad całą sprawą. Skoro jest tak wielkie zainteresowanie wokół pieniędzy przyznanych przez sąd w ramach odszkodowania, to dalszym ciągiem powinno być nadzorowanie, co się będzie działo z ludźmi, którzy powinni być rozliczeni oczywiście nie za poglądy polityczne, ale za łamanie prawa. Wszystkie te grupy, które zwracają uwagę, że to właśnie skarbowe pieniądze itd., powinny też intensywnie działać w celu sięgnięcia do rozkazodawców.

– Jak przyjął Pan atak po ogłoszeniu wyroku?

– Spodziewałem się, że może to wywołać poczucie zagrożenia i agresywne reakcje ze strony tych, którzy mnie skazywali. Coraz bliższe związki ugrupowań lewicowych, które do niedawna były jeszcze w opozycji z ludźmi poprzedniej władzy powodują, że nie dziwi mnie atak ze strony np. Michnika. Natomiast zabolały mnie stwierdzenia ludzi, którzy powołują się na swoje związki z „Solidarnością”. Przywołują oni szczytne hasła o patriotyzmie, ale nie do końca jestem przekonany, by wszyscy mieli do tego prawo. Biorę pod uwagę, że to może być nagonka. Z drugiej strony biorę również poprawkę na to, że nie wszyscy zrozumieli, na jakiej podstawie wystąpiłem. Myślę, że zostali oni ukierunkowani propagandowym pytaniem: a co będzie, jeżeli wszyscy wystąpią o odszkodowanie? Problem polega na tym, że w myśl obowiązujących teraz przepisów odszkodowanie przysługuje tylko tym nielicznym, którzy zdołają udowodnić, że sąd popełnił przestępstwo, jakim np. w mojej sprawie było antydatowanie dekretu. Znam tylko trzy takie przypadki.

Myślę, że organizacje prawnicze powinny się wypowiedzieć na temat „prawa stanu wojennego”. To jest to minimum sprawiedliwości, które należy się nie tylko mnie, ale wszystkim przez to prawo poszkodowanym. Dotyczy to również skazanych w latach 40. i 50. Większość już z góry przez „państwo prawa” T. Mazowieckiego pozbawiona została tytułu do występowania z roszczeniami.

Są też inne nietypowe sprawy. Co zrobić z przypadkiem uprowadzonego, pobitego i porzuconego w lesie przez tzw. nieznanych sprawców działacza związkowego z Nowego Sącza, który wyczerpał prawne środki dochodzenia sprawiedliwości, żyje z renty inwalidzkiej, która nie starcza nawet na pokrycie kosztów leczenia? Mogłem pomóc tylko w umieszczeniu go na okres badań w warszawskim szpitalu. Musi zaistnieć instytucja obejmująca takich ludzi opieką i pomocą.

Zastosowanie w ustawie z 1989 r. formuły o przebaczeniu i puszczeniu w niepamięć niegodziwości ostatnich lat uważam za próbę wykręcenia się od odpowiedzialności przez wciąż funkcjonujące i powiązane z poprzednim reżimem elity. Puszczenie w niepamięć wyklucza naprawienie krzywd.

– Dziękuję za rozmowę.

* * *

Andrzej Słowik całą kwotę odszkodowania przeznaczył na utworzenie Instytutu Badania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu (Fundacja Słowika) oraz wsparcie Funduszu Zdrowia Ziemi Łódzkiej i Zarządu Regionu Ziemi Łódzkiej NSZZ „Solidarność”.

Rozmawiała
Mariola Kudelska

UWAGI SCEPTYKA

Między histerią a hipokryzją

W starych mitach greckich wśród rozmaitych niebezpieczeństw czyhających na żeglarzy za szczególnie groźne uznawano dwa potwory: Scyllę i Charybdę. Gdy nieostrożny statek znalazł się między nimi, owe morskie straszydła zakleszczały go i następnie miażdżyły wraz z załogą. Obserwując polskie życie publiczne odnoszę wrażenie, że śladem nieopatrznych starożytnych podróżników i nasz statek, którego załogą wszyscy jesteśmy, podąża ku równie niebezpiecznym potworom, mogącym go zmiażdżyć i unicestwić – są nimi histeria i hipokryzja.

Histeria jest znaną od dawna chorobą, polegającą na wielu różnorodnych zaburzeniach układu nerwowego, które pojawiają się w okresie, gdy choremu zagrażają trudności życiowe. W histerii dotknięty tą przypadłością człowiek podświadomie gra przed otoczeniem rolę człowieka chorego, wierzy w swoją chorobę i naprawdę cierpi. Typowe jest teatralnie demonstracyjne zachowanie histeryka – musi on mieć swoją publiczność. Wszystkie zaburzenia histeryczne, między innymi zaniki pamięci, zaburzenia świadomości, cechuje niestałość, zmienność i podatność na sugestie otoczenia. Występują one zawsze w obecności świadków, nie pojawiają się nigdy, gdy chory jest sam.

Czyż ten z konieczności bardzo skrótowy opis nie odnosi się do licznych wystąpień polityków i pseudopolityków, rzeczników rozmaitych partii i ugrupowań, samozwańczych komitetów pół- i ćwierćobywatelskich, wielu posłów i senatorów oraz rozmaitej maści lokalnych politykierów i blagierów politycznych? Ongiś uważano, że histeria była przypadłością wyłącznie damską, związaną z dolegliwościami macicy (greckie hystera – macica). Histeryczne damy mdlały, dostawały „globusa”, plotły trzy po trzy, aby osiągnąć pewne korzyści lub uniknąć przykrości. Przyczyną bezpośrednią, wywołującą reakcję histeryczną, zwykle była trudna sytuacja życiowa, z której w taki sposób podświadomie człowiek dotknięty tą chorobą szukał ucieczki.

Dziś, w czasach równouprawnienia histeryzują równie dobrze mężczyźni, a demokratyczne prawo do prezentacji swoich poglądów i zachowań daje znakomitą szansę wciągnięcia histerii do arsenału walki politycznej. Stąd pewnie tak często słyszymy w radiu i telewizji oraz czytamy w gazetach histeryczne wynurzenia o spiskach czających się za każdym rogiem, o konieczności radykalnych przyspieszeń i „puszczania w skarpetkach”, stąd brak szacunku do obowiązującego prawa, prymitywne inwektywy pod adresem Sejmu, dyskredytujące najwyższy organ władzy w państwie oraz próby podwórkowych rządów manipulowanej gawiedzi, która na komendę podnosi „rączki w górę”.

Histeria jako narzędzie polityki nie jest niczym nowym w dziejach, ogarniała ona nie tylko elity polityczne, ale także tysiące zwykłych ludzi. Fobie rasowe, religijne, narodowościowe, polowania na dysydentów, odszczepieńców czy rewizjonistów, siły antysocjalistyczne i postkomunę, wrogów ludu, demokracji lub jedynie słusznej „prawdy”, wzniecanie waśni międzyludzkich, nietolerancji i nienawiści, wypełniają przeszłość i teraźniejszość oraz świadczą o histerycznym amoku i zaczadzeniu, po którym, chociaż z trudem, ale na szczęście przychodzi otrzeźwienie i powrót „do rozumu”.

Czy jednak jest racjonalne objaśnianie przy pomocy histerii świata, w którym żyjemy? Wprawdzie osobowości histerycznych i wewnętrznie rozwichrzonych, którym przydałaby się kuracja psychiatryczna, na polskiej, współczesnej scenie politycznej nie brakuje, jednak uważam, że wskazanie na histerię w próbie zrozumienia tego, co nas otacza, jest tylko częścią prawdy. Obserwowaną i manifestowaną ponad miarę histerię A.D. 1991 dopełnia hipokryzja, czyli obłuda, udawanie, dwulicowość.

Histeryk wierzy w swoje urojenia, a jego zachowanie wynika z choroby. Leczenie najczęściej polega na tym, aby choremu dać spokój, zimny kompres na głowę i nie przejmować się napadami histerii. Hipokryta jest o wiele bardziej niebezpieczny, bowiem on wie, że to co robi, jest grą prowadzoną z pełną premedytacją i świadomością celu, jaki chce osiągnąć. W życiu społecznym takim celem jest zwykle władza i wszystkie związane z nią atrybuty: prestiż, przywileje, korzyści materialne, wpływanie na zachowanie innych ludzi. Tabuny, na pierwszy rzut oka trudnych do rozpoznania hipokrytów, przybrawszy świętoszkowate miny i postawy, prawią o powszechnym szczęściu, wolności, demokracji i jednocześnie zezują na upragnione obszary władzy i panowania. A jeśli hipokryci posługują się histerykami i dodatkowo jeszcze sami histeryzują, zaś histerycy w chwilach otrzeźwienia posługują się obłudą w prowadzonej przez nich grze, to wtedy zasypia rozum i budzą się potwory czyhające na nieostrożnych lub zabłąkanych podróżników: Histeria i Hipokryzja.

Jedna i druga, podobnie jak mityczne syreny, czarującymi pogadankami i patetycznymi oracjami wabią nieświadomych niebezpieczeństwa, nakłaniają, przekonują, mącą w głowach i „narodowej kadzi”, obiecują przysłowiowe gruszki na wierzbie, uwodzą, straszą i grożą. Starożytne syreny wyobrażane jako ptaki z głową kobiety, wabiły śpiewem, nasze współczesne noszą garnitury i chyba nie potrafią śpiewać, a szkoda, bo hipokryzję lub histeryczność ich tekstów może mogłaby wynagradzać melodia.

Sławny ze swej pełnej niebezpieczeństw i przygód podróży Odyseusz pokonał syreny zaklejając swoim towarzyszom uszy woskiem, a siebie przywiązując do masztu okrętu. Zwyciężone ptaszyska, które tym razem nie zwabiły ludzi ku zgubie, rzuciły się w morze i bogowie zamienili je w skały. Być może jest to sposób i na dziś – bądźmy głusi na syrenie wołania histeryków i hipokrytów, a wtedy może nasz wspólny statek w miarę bezpiecznie przepłynie przez rafy i między grożącymi mu szczególnie złowrogimi potworami, które mogą zgotować mu nieszczęście. Przepłynie między szaleństwem masowej histerii i bezwzględnością równie masowej hipokryzji.

Jan Wolborski

PREZENTACJE

Józef Robowski

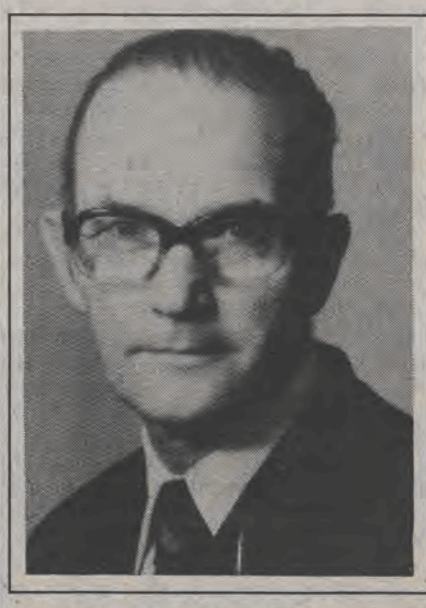

Urodził się z matki Czeszki i ojca Polaka „nad pięknym, modrym Dunajem”, gdzie jego rodziców rzuciły wojenne losy. Wiedeń przestał być właśnie stolicą cesarstwa, był już tylko metropolią małej republiki.

W domu mówiło się wyłącznie po polsku, może dlatego Józef Robowski nigdy nie nauczył się dobrze czeskiego, chociaż ma w Czecho-Słowacji krewnych. Jednym z powinowatych ze strony matki był Rudolf Beran, premier rządu czeskiego w okresie poprzedzającym utworzenie „Protektoratu Czech i Moraw”.

W Rzeczpospolitej Polskiej ojciec Robowskiego był rządcą, a matka ochmistrzynią u hrabiostwa Dolańskich. Za poradą dziedzica mały Józef uczył się początkowo w Czernej koło Krzeszowic a potem w Krakowie. Mieszkał w bursie księży misjonarzy, często dostawał trzciną za palenie papierosów. Do gimnazjum uczęszczał w Tarnobrzegu. Kiedy w r. 1938 uzyskał maturę, matka uważała że to cud, dała mu 20 zł i kazała pojechać do Częstochowy pokłonić się Jasnogórskiej Pani.

Postanowił zostać zawodowym żołnierzem, marzyło mu się lotnictwo, ale przyjęto go do piechoty. Służył w Jarosławiu (dywizyjny kurs podchorążych) i w Komorowie koło Ostrowi Mazowieckiej. Wojna zaskoczyła go w Lubaczowie (I batalion 39 pp Strzelców Lwowskich). Przeniesiony do Przemyśla, przeżył bombardowanie stukasów i w składzie 24 dywizji przedzierał się do Lwowa, ale w pobliżu Gródka Jagiellońskiego dostał się do niewoli niemieckiej.

Później były oflagi i stalagi (Murnau, Oberlangen, Monschau). W obozie jeniec Francuz uczył go angielskiego, niemieckiego nauczył się sam. Dogorywanie III Rzeszy obserwował w Halle i w okolicach Plauen, gdzie został wyzwolony przez Amerykanów. Było to 15 kwietnia 1945 r.

Od tej daty rozpoczął Józef Robowski karierę zawodowego tłumacza. Dostał amerykański mundur i w składzie II sekcji US Army (wywiad) przesłuchiwał niemieckich jeńców. Po zakończeniu działań wojennych został burmistrzem w Hilburghausen, pełnił służbę w Koburgu i Berlinie, przydzielono go także do ochrony prezydenta Trumana podczas Konferencji Poczdamskiej. Rozstał się z mundurem amerykańskim w Erlangen, odznaczony Orderem Brązowym Gwiazdy i nie skorzystał z możliwości otrzymania obywatelstwa USA.

Po powrocie do Tarnobrzegu w lipcu 1946 r. przekonał się o biegu spraw w ojczyźnie. Unikając kłopotliwych pytań UB przeniósł się do Szczecina i tam zapisał na studia WSE na wydział handlu zagranicznego. Jednocześnie pracował jako makler okrętowy ucząc się pilnie szwedzkiego od skandynawskich marynarzy. Kiedy zainteresowały się nim wiadome służby, przeniósł się do Ustki, ale i tam dosięgła go „ludowa sprawiedliwość”: dostał nakaz natychmiastowego wysiedlenia ze strefy nadgranicznej, przed aresztowaniem uchroniły go dobre stosunki z placówką miejscowego WOP.

Od 1952 r. mieszka w Łodzi. Początkowo był utrzymankiem żony, gdyż „podejrzanemu” nikt nie chciał dać pracy. Profesor Marchlewskiej, kuzynce tego działacza ze zdemontowanego właśnie pomnika, zawdzięcza życiową stabilizację. Przyjęła go do Instytutu Celulozowo-Papierniczego na etat dokumentalisty. Doskonalił tu swój warsztat translatorski i zrobił magisterium na wydziale towaroznawstwa artykułów przemysłowych WSE. W roku 1974 uzyskał doktorat w UŁ w dziedzinie nauk humanistycznych. Jego praca Tezaurusy – języki deskryptorowe – analiza porównawcza z innymi językami informacyjnymi” stała się podręcznikiem dla studiów bibliotekoznawczych w całym kraju. Na wydziale filologicznym UŁ prowadził wykłady z informacji naukowej i seminarium magisterskie.

Jest współautorem czterojęzycznego „Słownika papierniczego” i „Słownika terminologicznego informacji naukowej”, obecnie tworzy „Słownik papierniczy” angielsko-polski.

Nigdy nie zapomina, że tłumacz jest wynalazcą. Oczywiście w sferze języka.

O tym się mówi: „Bistona", „Fonica", „Hyundai Sonata"

Hyundai w wersji skandal

Cd. ze str. 1

pracy dla ludzi. O wartości majątku decyduje po prostu rynek.

– Recesja dotyka też innych dziedzin wytwórczości. Strajkuje „Fonica". Słyszałam gorzką wypowiedź strajkujących, że pan nie pofatygował się do nich. Czy pana już nie interesuje los strajkujących robotników w Łodzi?

– Interesuję się i losem pracowników „Foniki", i wszystkich innych mieszkańców. Czy pracują, czy nie. Jeśli nie pracują, to mają duże kłopoty. To też, w jakiejś części, moje zmartwienie. Z wiceprzewodniczącym Komitetu Strajkowego w „Fonice" rozmawiałem telefonicznie przed moim wyjazdem do USA. Znam ich problemy. Ale moja obecność tam może mieć tylko charakter symboliczny.

– I im głównie o to chodziło.

– No, właśnie. Nie mogę stwarzać sugestii, że mam jakieś możliwości działania w ich przypadku. Mogę tylko wskazać pole możliwości negocjacyjnych, na przykład w sprawie wcześniejszych uprawnień emerytalnych, co zrobiłem. Tu decydujący głos należy do Ministerstwa Przemysłu, jako organu założycielskiego i do administracji państwowej, czyli do wojewody.

– Słyszy się z różnych stron opinie, że polityka rządu prowadzi do celowego zniszczenia polskiego przemysłu państwowego. Czy podziela pan taką opinię?

– Nie, nie podzielam. Co nie zmienia faktu, że nie wszystkie nasze propozycje, zmierzające do zmiany sytuacji tego przemysłu, zostały przyjęte przez rząd.

– Jakie na przykład?

– Wspólnie z Izbą Handlowo-Przemysłową wypracowaliśmy propozycję czasowej ochrony rynku wewnętrznego. Nie chodzi o cła, bo są tu zobowiązania wynikające z umów handlowych. Ale można byłoby na przykład zastosować odbiór jakościowy, co położyłoby tamę napływowi tandety z Azji. Można byłoby też na pewien czas wprowadzić kwoty importowe, ustalić pułap dla importu, rezerwując tym sposobem rynek wewnętrzny dla towarów przemysłu krajowego. Chociażby do czasu rozładowania bariery w handlu z Rosją i innymi republikami. Sądzę, że każdy kraj, który prowadzi gospodarkę rynkową, zrozumie taką sytuację i przyjmie bez sprzeciwu protekcję dla naszego rynku wewnętrznego. Nie ma monopolu, jest natomiast nadprodukcja, jest konkurencja, nie ma zatem strukturalnych przeciwwskazań, aby coś takiego zrobić.

– Dlaczego zatem tak się nie robi?

– Nie mamy na naszą propozycję żadnej oficjalnej odpowiedzi. Natomiast przy okazji różnych dyskusji mówi się, że wymagałoby to sprawnego aparatu urzędniczego, bowiem jak są limity, to może wchodzić w grę przekupstwo. Ale na to też są sposoby. Limity można sprzedawać na przetargu. W każdym razie przy każdej okazji, jak tylko mogę, przypominam naszą propozycję.

– A nie sądzi pan, że mogą tu działać też pewne doktrynalne przeciwwskazania? Nie pasuje do koncepcji liberalizmu.

– Tę fazę gospodarczą ja nazywam liberalizmem naiwnym, a nie pragmatycznym, jaki jest praktykowany gdzie indziej. Poważnie potraktowałem zapowiedź premiera, że będziemy pragmatycznie podchodzili do problemów gospodarczych. Ale dostrzegam jakby deficyt praktycyzmu w działaniu rządu. Rozumiem, że nie wszystkim można się zająć jednocześnie. Ale bez pragmatycznego podejścia do gospodarki nie widzę możliwości powstrzymania upadku całych branż. A to jest społecznie bardzo niebezpieczne.

– Patrzy pan z pesymizmem w przyszłość?

– Nie. Trzeba bowiem widzieć perspektywy przemysłu włókienniczego. Jest to przemysł rynkowy, nie jest obarczony jakimiś strasznymi barierami strukturalnymi, inwestycyjnymi czy problemami z zakresu ochrony środowiska. Przed tym przemysłem stoi zatem jedno pytanie: jak przetrwać czas destabilizacji kontaktów handlowych? Przydałyby się zatem amortyzatory, o których już mówiłem.

– Proponuję zmianę tematu. Pytanie z innej dziedziny. Czy prezydentowi drugiego co do wielkości miasta w Polsce przystoi reklamowanie samochodu obcej produkcji?

– Prasa coraz bardziej służy rozgrywkom politycznym i skandalizowaniu, a nie informowaniu. Gdyby dziennikarze chcieli rzetelnie informować, to powinni zobaczyć dokument, na podstawie którego „Polmozbyt" przekazał samochód „Hyundai Sonata". I komu. Tam jest wyraźnie stwierdzone, że przekazuje samochód Zarządowi Miasta. Czyli ma służyć mnie i innym członkom Zarządu przy różnych okazjach, kiedy wymagane jest, aby miasto było właściwie reprezentowane. A także przy dłuższych podróżach zagranicznych. Jest to dobry interes dla miasta. Kiedy ta sama firma przekazała rządowi Tadeusza Mazowieckiego 12 samochodów tej samej marki, nikt się nie zastanawiał, czy to przystoi premierowi, czy też nie.

– Ale kiedy premier Jan Krzysztof Bielecki założył koszulkę reklamującą niemieckie wyroby mleczarskie, protestowały i PSL i PPS.

– Jest w tym pewna różnica. Żaden samochód tej klasy nie jest produkowany w Polsce. A mleczarzy i mleka mamy w Polsce nadmiar. Proszę zatem dostrzec tę różnicę. W Polsce jest monopol przemysłu samochodowego, który w dodatku źle się sprawdza. Reklamując samochody innego producenta nie czynimy nikomu krzywdy.

– Mogą być jeszcze inne skojarzenia. Za tym przykładem mogą pójść inni. Mogą na przykład zaproponować Zarządowi Miasta reklamowanie telewizorów albo czego innego. Taka praktyka może budzić podejrzenie, że czyni się tak, aby pozyskiwać przychylność Zarządu Miasta.

– Mamy w Polsce wreszcie rozdzielone władze wykonawcze, legislacyjne, sądownictwo. Wobec tego fakt, że jakaś firma chce mieć dobre stosunki z Zarządem Miasta, chce mieć dobry interes na promowaniu swojej produkcji, nie zwalnia jej z obowiązku postępowania zgodnie z prawem. Jest to interes dla obu stron. Przy kiepskim budżecie miasta, gdybyśmy chcieli kupić taki samochód, dopiero by wybuchła krytyka, że nam luksusy w głowie, a miasto upada. A tak mamy samochód darmo. I o co ta awantura?

– Bo kojarzy się z tak oprotestowanymi praktykami „starej nomenklatury", która coś tam sobie załatwiała.

– W naszym przypadku tylko oszczędzamy pieniądze z budżetu miasta. Mogę wszystkich zainteresowanych uspokoić. Nadal mam swojego małego fiata.

– I jeździ pan nim?

– Tak. A do większości służbowych zajęć dalej używam służbowego poloneza, którym do tej pory jeździłem.

Rozmawiała:
Bogda Madej

W miejsce robotniczej solidarności mamy robotniczą konkurencję

Zajazd na Piwnej

Najpierwszy był facet z zapalonym palnikiem acetylenowym. Wyrósł jak spod ziemi, doskoczył do bramy, przepalił kłódkę. Za nim, przez rozepchnięte na oścież wejście, wjechała na podwórko zmechanizowana brygada napastników: w dźwigu, spychaczu i ciężarówce, które zatarasowały przejazd. W ten sposób, zanim ktokolwiek zdążył się zorientować, rozpoczęła się okupacja „Fureksu". Była środa, 3 lipca, godzina 9.00 rano.

Dla pracowników „Fureksu" wprowadzono następnie siłą ruch jednokierunkowy: tylko do wyjścia, zakazując im wstępu na teren posesji przy ul. Piwnej 24. Najgroźniejsze były te pierwsze godziny, gdy doszło do przepychanek i szarpaniny. Jedna z kobiet, brutalnie odepchnięta, doznała niegroźnej kontuzji dłoni. Jak dotąd, była to na szczęście jedyna ofiara incydentu. Do wieczora ustalił się stan wzajemnej blokady, obowiązujący przez następne dni: w środku budynku dyrektor „Fureksu" na straży dobytku firmy; na podwórzu – kilkunastu okupujących; na zewnątrz, wzdłuż płotu – kobiety z „Fureksu", pragnące dostać się do pracy.

Przez następne dni będą tak naprzeciw siebie stali (a potem już siedzieli, na składanych stołkach) pracownicy dwóch firm – prywatnej, czyli „Fureksu" (odzież skórzana, futra) oraz państwowej, czyli Łódzkiego Przedsiębiorstwa Transportu i Sprzętu Budowlanego Przemysłu Lekkiego, którzy dokonali tej okupacji. Ci pierwsi wypisali na transparencie: **„Wy okupujecie – my płacimy podatki"**, a ci drudzy: **„Odbieramy wreszcie swoją własność"**. Transparenty wiszą, o dziwo, tuż obok siebie, i nikt ich sobie wzajemnie nie zrywa. Pomimo pozornego spokoju, w każdej chwili może jednak dojść do poważnych awantur.

Drugiego dnia okupacji nieomal do nich doszło. Miała się wymienić pierwsza „zmiana" okupujących, lecz pikieta „Fureksu" nie dopuściła do tego: – *Skoro nie chcecie nas wpuścić, sami też nie wyjdziecie* – krzyczały kobiety. Wymiana dokonała się w końcu, ale w sposób zmechanizowany, drogą powietrzną – ponad płotem, na wysokim, samochodowym wysięgniku.

Trzeciego, czwartego i przez następne dni okupacji wymiany dokonują się już „drogą lądową". Obie strony są coraz bardziej zmęczone. Gdy robotnicy pilnują się nawzajem w piekącym słońcu, ich szefowie próbują gorączkowo dojść do ugody.

Zanim doszło do okupacji

obie firmy przez kilka lat potrafiły z sobą współpracować. budynek po kotłowni, zbędny przedsiębiorstwu transportowemu, wydzierżawiony został „Fureksowi" w 1983 roku. Firma umieściła tu swoją dyrekcję, a także jeden z wydziałów, zatrudniający prawie 250 osób. Właściciel „Fureksu" podaje, iż dobudowali w budynku 40 procent powierzchni. W kwietniu ub. roku podpisano nową umowę – na dalsze pięć lat. „Furex" zobowiązał się i zapłacił za roczny czynsz z góry, ale po dwóch tygodniach jego partner wypowiedział umowę. Uczynił to zgodnie z odpowiednią klauzulą, a więc z rocznym okresem wypowiedzenia. Termin upłynął z ostatnim dniem czerwca br. Odtąd, od pierwszych dni lipca, „Furex" zajmuje budynek, który powinien był opuścić. Tak przynajmniej uważają pracownicy i dyrekcja ŁPTiSB PL, którzy w obronie swych racji podnoszą koronny argument: mianowicie od kilku miesięcy budynek przy ul. Piwnej jest prawną własnością ich przedsiębiorstwa, na podstawie decyzji wojewody łódzkiego.

Ci z „Fureksu" przyznają, że to prawda, ale upierają się, że decyzja wojewody była przedwczesna, bez dotrzymania wymogów określonych sejmową ustawą o uwłaszczeniu przedsiębiorstw. Zwrócono się przeto do prokuratury o jej zaskarżenie, co ta niedawno uczyniła. Zdaniem szefów „Fureksu", do czasu rozpatrzenia skargi przez NSA, ich firma może nadal korzystać z zabudowań posesji.

– *To prawda, że od 1 lipca jesteśmy posiadaczami tej posesji w złej wierze* – tłumaczy Halina Chrzanowska, radca prawny „Fureksu" – *ale takich posiadaczy również chroni prawo. Skarga prokuratury w naszej sprawie musi być wpierw rozpatrzona przez NSA, a potem dopiero ewentualnie wszczęte postępowanie eksmisyjne. Wówczas się wyprowadzimy, ale teraz, to jest zwyczajny gwałt.*

Robotnicy przedsiębiorstwa transportowego przyznają, że użyli siły, czyli gwałtu, żeby odzyskać, co swoje. Wierzą, że innej drogi nie było. Sąd? Eksmisja? Mogą potrwać miesiącami, jeśli nie latami, a tymczasem budynek jest im potrzebny od zaraz, bo firma ma nóż na gardle. Nie ma popytu na usługi budowlano-transportowe, więc albo teraz odbiorą swoją własność (aby ją sprzedać), albo będzie już za późno na odbieranie...

Tych z „Fureksu" nazywają złodziejami, ale to właśnie ludzie z prywatnej firmy częściej podnoszą argumenty czysto moralne. *Patrzcie* – wskazują dziennikarzom – *kilkunastu „okupantów" codziennie opala się, jak na pikniku, stoi bezczynnie ich sprzęt. W naszej firmie byłoby to nie do pomyślenia!*

Właściciel „Fureksu", Rafał Imbro (zamieszkały na stałe w Wlk. Brytanii) nie ukrywa swej irytacji: każdego dnia tracą po 80 do 90 mln złotych. A w środku czekają pieniądze na wypłatę dla całej załogi, dla 500 pracowników. Jak je wypłacić? Na koniec wytacza najcięższe armaty:

– *Dyrekcja tamtych to ludzie z postkomunistycznych układów. Była nomenklatura.*

W całej tej sprawie, dość zawikłanej od strony prawa i jego przepisów, wyraźne jest jedno: dwie zwaśnione grupy pracowników występują pod sztandarami swych firm, popierając własnych szefów tak gorliwie, jakby sami byli właścicielami. Jedni i drudzy, broniący swoich miejsc pracy, za śmieszne uważaliby przypomnienie o robotniczej solidarności. Liczy się teraz wyłącznie konkret, a to znaczy: praca w firmie, która ma przyszłość.

Nie docenili tylko nawzajem swego zdeterminowania.

Andrzej Gębarowski

PS. Po tygodniu okupacji, 10 lipca, pracownicy „Fureksu" wpuszczeni zostali do budynku przy ul. Piwnej, ale okupujący nadal pozostają na podwórzu. Trwają rozmowy pomiędzy szefami obu firm. Rozważa się możliwość odkupienia przez „Furex" posesji na własność.

Łódzki potentat videokaset ma kłopoty – i śmieje się z nich w kułak

Amerykańska firma Paul Kogan Associates podała do wiadomości, że dochody przemysłu filmowego USA wzrosły w 1990 roku o około 249 milionów dolarów wyłącznie dzięki znacznemu nasileniu się walki z wideopiractwem w Europie. Z jeszcze bardziej szacunkowych danych wynika, że w tym samym roku polscy wideopiraci wyprodukowali nagrane kasety wartości ponad 10 milionów dolarów. Większa część tej kwoty trafiła nieopodatkowana do kilku prywatnych kieszeni. Dzięki nielegalnej dystrybucji tych kaset, dostatnio żyło w Polsce kilka tysięcy osób.

W statystykach światowych przyjmuje się, że średnia dopuszczalna wielkość wideopiractwa wynosi około 20 procent całego rynku filmów video. W naszym kraju sytuacja przedstawia się odwrotnie: jeśli 20 procent kaset będących w obiegu ma licencję – to możemy mówić że jest 20 razy lepiej niż przed rokiem.

Wszystko zaczęło się od Wałęsy

Dobrze poinformowani mówią, że wszystko zaczęło się od Wałęsy. Właściwie powinno się stwierdzić, że zaczęło się od Janusza Leksztonia, ale taka kolejność nazwisk byłaby politycznie niewłaściwa. Pan Lekształoń – potentat video, posiadacz wytwórni Studio Video Elgaz – w przedwyborczym prezencie dla obecnego prezydenta, przeprowadził całą operację telewizyjną i reklamową Lecha Wałęsy, wartości około 120 milionów złotych. Kierował się i pobudkami politycznymi, i praktycznymi. Wiedział, że gdy prezydent już osiądzie na swym fotelu, znajdzie chwilkę czasu, aby przepisy prawa wcielić w życie.

Nie czekał długo. Już wiosną tego roku, poprzedzona expose premiera Bieleckiego na temat konieczności poszanowania praw autorskich szczególnie w dziedzinie kultury, zaczęła się nagonka na nielegalnie działające wypożyczalnie kaset. To zaostrzenie egzekucji prawa było tylko zapowiedzią lawiny. Prawdziwe pieniądze powstają nie w wypożyczalniach kaset (choć i tam są niemałe), a w studiach nagrań. Pierwszy poważny dla piratów cios został zadany w Gdyni. Januszowi Leksztoniowi utrącono konkurencję. Wiadomo, że po tym, co zrobił on dla prezydenta, nie mógł długo mieć przeciwników, tym bardziej działających nielegalnie. „Gazeta Wyborcza" ogłosiła, że agencja „Pro Omnia" przestała działać. Później zaś poinformowała, że i łódzki potentat w dziedzinie rozpowszechniania nielicencjonowanych kaset, klub „Joker", mieszczący się 100 metrów w linii prostej od Zarządu Miasta, ma kłopoty – wszczęto przeciw jego działalności śledztwo.

Jeśli ktokolwiek w te przechwałki uwierzył, szybko się rozczaruje. W środku Łodzi, trzy stopnie poniżej chodnika przy ulicy Tuwima 6, nadal mieści się nielegalnie działające biuro pośrednictwa wymiany kaset, na którego półkach znajduje się – lekko licząc – 1000 tytułów. Drugie tyle jest w domach u klientów. Każdy może tu wejść, po drobnych zabiegach organizacyjnych rozpocząć wypożyczanie chodliwych pirackich kaset. Wielu klientów chce tu wejść i wchodzi. Dlaczego zaś nie chce się tam udać policyjna kontrola? Dlaczego nie mają przyjemności zrobienia tam nalotu inspektorzy szumnie powoływanej i groźnie się odszczekującej agencji do zwalczania videopiractwa – „RAPID-Asekuracja"? Najprawdopodobniej dlatego, że bezpieczniej kontrolować malutkie, domowe wypożyczalnie czy pogonić ulicznego dealera kaset. Tu zwycięstwo murowane, a tam... Pewno i złym słowem mogą potraktować, i chody mają większe! Bo przecież jeśli tak działają, w biały dzień... to coś w tym musi być!

Bijmy tego, kto nie odda

Zgodnie z tą filozofią często się u nas myślało i myśli nadal. Jak informuje miesięcznik „Rapid", wydawany przez Radę Autorów, Producentów i Dystrybutorów Programów Audiowizualnych, na przykład *„w Łukowie Sąd Rejonowy, II Wydział Karny skazał 30 października 1990 roku Marka Z. na karę grzywny na podstawie artykułów Ustawy o Kinematografii, wymierzonych przeciwko piractwu"*. Do nielegalnej wypożyczalni kaset video pana Marka wejść było łatwo: cywil z Rapidu i mundurowy policjant legitymują się, przestraszony właściciel siedzi cicho, kontrolujący spisują tytuły, stemplują protokół, wszczynają postępowanie karne. Jest rozprawa, jest kara, drobny ciułacz dostał w tyłek.

Jak to samo ponoć wyglądało w jednej z wypożyczalni spółdzielni „Vega"? Taka sama ekipa kontrolna, lub nawet dwakroć liczniejsza, wchodzi do wypożyczalni... a tam zza stołu wstaje dwóch strasznych bambrychów, którzy z wyraźnie złymi zamiarami kierują się do stróży prawa i Ustawy o Kinematografii. Za gorylami stoi mikry, ale pyskaty adwokat, który informuje, że *„panowie znajdują się w pomieszczeniu prywatnym, w którym – żeby cokolwiek kontrolować – trzeba mieć nakaz rewizji"*. I jak tu z takimi walczyć? Jak takim podskoczyć?

Skoro padła już tajemnicza nazwa „Vega" – powiedzmy na jej temat parę słów. Tym bardziej, że dotąd w publikacjach na temat videopiractwa zwykle się ją pomijało. „Vega" to oficjalnie zarejestrowana Spółdzielnia Pracy z siedzibą w Nałęczowie, zajmująca się między innymi nielegalną produkcją i dystrybucją kaset video. Oficjalnie nikt w Rapidzie takich danych nie przekazuje, bo wszak nie ma wyroku sądowego, ale nieoficjalnie – ciężko wzdychając – informuje, że jej szacunkowa wydajność produkcyjna wynosi 20 tysięcy kaset... miesięcznie. To ona zaopatrywała większość nielegalnych wypożyczalni, to ponoć ona zmonopolizowała rynek videokaset Związku Radzieckiego, to ponoć ona zasypała w swoim czasie rynek zachodnioniemiecki kasetami „Batmana". Dla potrzeb krajowych odbiorców była bardzo elastyczna: atrakcyjne tytuły, niezłe kopie, tanie kasety. Każda podległa jej wypożyczalnia odprowadzała do centrali 5 procent obrotów. Było za co inwestować, było za co żyć.

Oficjalnie w „Rapidzie" mówią, że szczegółów nie znają. O zagranicznej ekspansji spółdzielni napomknięto jedynie: *wiemy, że do Polski wchodzą całe kontenery pustych kaset video, i wiemy, że nasze granice opuszczają również całe kontenery kaset nagranych. Ujawniliśmy również jedno studio podkładające listę dialogową czytaną po litewsku.*

Video – szmal

I Herkules....

Jeśli czytelnik odniósł wrażenie, że gorzko wypowiadamy się na temat możliwości, praktyki działania i efektów pracy Rapidu – to musiało to być nieporozumienie. My rozumiemy obiektywne trudności, rynkowe rozpasanie, niemoc policji, niespójność regulacji prawnych, bezsilność urzędników. Bo proszę zobaczyć: cały krajowy Rapid dysponuje aż 150 kontrolerami! Ba! Ocenia się, że jest to 4 razy za mało! Wolno im tylko grzecznie wejść do wypożyczalni, spisać listę tytułów, sprawdzić licencję Komitetu Kinematografii (jest zawsze na miejscu, a jakże!), obejrzeć czy kasety są firmowe czy tylko do dyspozycji klientów same kopie. Pisze się z tego protokół, wysyła do Warszawy i za miesiąc właściciel wypożyczalni zapraszany jest na rozmowę, podczas której proponuje mu się kompromis: albo uiści on dobrowolną stawkę grzywny, albo sprawę kieruje się do powództwa cywilnego.

Żeby było śmieszniej: decyzję o tym, które z ujawnionych tytułów filmów, będących w dyspozycji danej wypożyczalni są nielegalne – wskazuje komputer. Jeśli jakiś spryciarz ponapisuje na grzbietach kaset inny tytuł niż oryginału (na przykład: „Żegnaj Afryko", zamiast „Pożegnania z Afryką") – kaseta nie jest ujawniana jako piracka! Dlatego zazwyczaj tylko 5 procent filmów okazuje się mieć na terenie naszego kraju prawa zastrzeżone.

Jak orzekają sądy cywilne – mniej więcej wiemy. Dość powiedzieć, że przy kilkudziesięciu tysiącach staczy z kasetami i wypożyczalni pirackich, mamy do dziś kilkadziesiąt wyroków sądowych. Jest to kropla w morzu, ale i tu są te same argumenty: przy obecnej wykładni i praktyce prawa, dokładnie tylko taka działalność jest możliwa. A dystrybutorom (i rodzimym, i zachodnim) tylko zgrzytają zęby. Nie są również zadowoleni właściciele wypożyczalni, dysponujący wyłącznie oryginalnymi kasetami. Niestety – nadal są oni w mniejszości pośród 6 tysięcy punktów, które mają licencję Komitetu Kinematografii, ale oferują również nagrania pirackie.

– *Gdy nasi kontrolerzy zaczęli deptać „Vedze" po piętach, spółdzielnia ta całą administrację nielegalnymi kasetami przerzuciła do łódzkiego „Jokera"* – mówi dyrektor agencji Rapid – Asekuracja, **Krzysztof Duszyński.** – *Gdy i „Jokerem" zainteresowali się inspektorzy – sprawy przejęła „Pro Omnia". Gdy ta ostatnia nie mogła już dalej działać mając w dystrybucji pirackie nagrania kradzione głównie warszawskiemu „ITI" – wymyślono Partię Posiadaczy Magnetowidów, zwaną w skrócie Partią „V". Gdy partia ta pod koniec maja otrzymała oficjalną rejestrację sądową – nogi się pod nami ugięły. Bo przecież, gdy partia polityczna prowadzi wewnętrzny klub dla swoich członków... I co z tego, że w Komisariacie Rejonowym Gdańsk-Stare Miasto leży ponad 700 zabezpieczonych nielegalnych kaset?"*

Po prostu na piratów nie ma siły. Ale sprawa jest w toku i „Rapid" tym razem – jak zawzięcie zapewnia dyr. Duszyński – już nie popuści. Pomimo, że Partia „V" wystosowała list do prezydenta, załączając do niego odcinek czeku, opiewającego na skromną sumkę.

A „Joker" – się śmieje

W Łodzi prowadzone jest ponoć również postępowanie przeciwko „Jokerowi". Dziwne tylko, że pracownicy tego klubu nic sobie z niego nie robią: każdego kolejnego klienta witają z uśmiechem na ustach i spokojnie tłumaczą skomplikowane zasady korzystania z pośrednictwa wymiany kaset. Otóż teraz to już nie jest wypożyczalnia, tylko klub Partii „V". Każdy kto chce oglądać nielegalne filmy, musi podpisać deklarację i zostać członkiem. Musi też opłacać miesięczne składki, musi na rzecz Partii wnieść wartości materialne: 2-5 kaset. I każdy członek ma prawo nieodpłatnie korzystać z majątku partii, w liczbie od 1 do 4 kaset dziennie. Przyjmowane są tylko filmy, na które nikt w Polsce nie ma wykupionego prawa do dystrybucji (patrz – przypadek „Pożegnanie z Afryką"). Właściciel wypożyczalni, pan Paweł, zdaje sobie sprawę, że to wszystko w każdej chwili może się skończyć, a ten dramatyczny moment odraczany jest tylko przez problematyczne prześlizgiwanie się w lukach pomiędzy przepisami. Ale „Joker" jest dość bezpieczny: w razie czego, gdy przyjdzie odpowiadać za rozpowszechnianie tytułu, na który nie miało się wykupionej licencji, każdy z członków Partii „V" będzie pociągnięty do odpowiedzialności, bo każdy z nich jest przecież spisany, każdy się podpisał, każdy wprowadził do obiegu nielegalne nagrania. A gdy zaczną się te przykrości, sale sądowe będą tak zapchane oskarżonymi, że przez ten czas, zanim będzie osądzony, pan Paweł zdąży zrobić jeszcze parę innych dobrych interesów.

Tak więc w tym samym czasie, w którym „Joker" się śmieje, łódzcy kontrolerzy Rapidu węszą po naprawdę legalnych, finansowanych grubymi milionami wypożyczalniach, sprawdzając papierki i tropiąc nawet jedną nielegalną kasetę. Potrafią godzinami przeglądać pełne półki, w poszukiwaniu kontrowersyjnych z punktu widzenia prawa, a atrakcyjnych tytułowo kaset pochodzących na przykład od warszawskiego dystrybutora „Rocky". Oni węszą, a „Rocky", oraz jego łódzki hurtownik mieszczący się przy ulicy Kilińskiego, w najlepsze sobie owymi kasetami handlują! Dyrektor Duszyński zaś autorytatywnie stwierdza: *„na dziś nie mogę powiedzieć, żeby kasety rozprowadzane przez spółkę Rocky były nielegalne.*

Jak widać – z obecnej sytuacji nie tylko „Joker" się śmieje. Gdzie pieniądze – tam siła. Gdzie siła – tam nie ma kontroli. Gdzie nie ma kontroli, a są nielegalne kasety – tam są pieniądze. Gdy zapytałem dyrektora Duszyńskiego, czy obrazi się, gdy napiszę, że każdy pirat może mu zagrać na nosie, odparł, że nie obrazi się. Że zdaje sobie po prostu z tego sprawę...

A wszystkim kontrolerom „Rapidu" – życzymy powodzenia w pracy!

Jerzy Machejek

Ogłoszenia drobne w „ODGŁOSACH"

„Odgłosy" począwszy od numeru 10 (28 lipca 1991 r.) wprowadzają na swoje łamy kolumnę ogłoszeń drobnych.

Cena za jedno słowo

3.000 zł

Stosujemy bonifikaty!

Przy 5 ogłoszeniach – 8%,
przy 10 ogłoszeniach – 10%,
przy 15 ogłoszeniach – 12%,
przy 20 ogłoszeniach – 14%,
przy 25 ogłoszeniach – 20%,
przy 30 ogłoszeniach – 22%,
przy 35 ogłoszeniach – 24%,
przy 40 ogłoszeniach – 26%,
przy 45 ogłoszeniach – 28%,
przy 52 ogłoszeniach – 33% zniżki!

Ogłoszenia przyjmowane są w:

– siedzibie redakcji ul. Sienkiewicza 3/5 XI piętro pok. 1104 tel. 36-52-44

– „Gazecie Reklamowej" ul. Sienkiewicza 11/13 tel. 33-18-19

– „Weście-Druk" ul. Piotrkowska 94 I piętro pok. 11 tel. 32-61-79

– Biurze Ogłoszeń al. Kościuszki 41 tel. 33-23-28

UWAGA:

– ogłoszenia zawierające ofertę kupna lub sprzedaży przyjmowane są tylko pod warunkiem podania ceny wstępnej zakupu lub sprzedaży.

Pamiętaj!
Ogłoszenie
w „Odgłosach"
żyje cały tydzień!

EAST – WEST
BUSINESS OFFICE ŁÓDŹ – POLAND

Uwaga hurtownicy i detaliści

Duńskie naturalne syropy **„BONANZA"** w różnych smakach: kiwi, mango, ananas, malina w efektownych kartonikach 1 l syropu na 4 l napoju. **Preferowane przez Sanepid – atest.**

Bezpośredni i wyłączny importer

Firma „EAST-WEST",

tel. 78-38-65, tlx 884157, fax 740221.
Magazyn – Łódź,
tel. 32-73-50 lub 87-42-75

W niedzielę marnotrawni mężowie wracają na łono rodziny

Cd. ze str. 1

dycze. Napis nad ladą reklamuje szaszłyki po dwadzieścia sześć tysięcy i tańsze o dychę hamburgery. Barman musi nieustannie pamiętać, że magistraccy urzędnicy tylko czekają, aby na kontuarze pojawiło się coś mocniejszego. Mężczyźni odwiedzający bar mają prawo dostać zawrotu głowy od kobiecych wdzięków, biada jednak wszystkim, gdyby któryś z biesiadników zechciał popróbować koniaku, whisky czy szampana. Władze Rzeczypospolitej konsekwentnie przeciwstawiają się rozpijaniu narodu i dbają o dobre obyczaje, toteż urzędnicy magistraccy wyszli z założenia, że w drink-barze najodpowiedniejszymi trunkami będą odżywki dla niemowląt. Nocnemu lokalowi od pół roku konsekwentnie odmawia się koncesji na sprzedaż alkoholu. Ostatnio wojewoda Waldemar Bohdanowicz poinformował na piśmie, że wyczerpał limit punktów sprzedaży mocnych napojów w skali okręgu. Władze konsekwentnie opowiadając się za wychowaniem w trzeźwości, z równą stanowczością nie przestrzegają jakichkolwiek terminów przewidzianych przez ustawę o nazwie kodeks postępowania administracyjnego, bowiem wiadomo, że prawo w Polsce jest złe, ustanowione jeszcze przez komuchów dla własnej wygody. Dlatego i pierwszą odmowę, i drugą, na odwołanie od niej, podpisał z upoważnienia wojewody ten sam urzędnik. Taki tryb załatwiania spraw przyśpiesza niewątpliwie obieg dokumentów bez zbędnej, biurokratycznej mitręgi, wszystko jest bowiem w jednym ręku. Tylko pan Sławek nie jest zadowolony, twierdzi, że odwoła się do sądu administracyjnego.

Pan Sławek, z wykształcenia technik-elektronik, od początku szedł o własnych siłach, nie zhańbił się żadną państwową posadą. Był rzemieślnikiem, poznał smak ogrodnictwa, wyjeżdżał za granicę i dłuższy czas przebywał w Kanadzie, gdzie ma brata. Tam, w Ameryce, obserwował życie nocne, poznał night cluby, rewiowe teatrzyki i bary. W Łodzi znalazł wspólnika w osobie pana Marka, choć młodszego, to już statecznego, posiadającego żonę i dzieci. Pan Marek poznał niemiecki model męskiej rozrywki, przebywał tam na saksach. Udziałowcy spotkali się przypadkowo u wspólnego kolegi, który także został jednym z właścicieli przedsięwzięcia pod nazwą Erotic Dance Club.

Urzędnicy rejestrujący spółkę „AS" nie robili trudności, podawali jedynie w wątpliwość ekonomiczne perspektywy zakładu. Nagość na estradzie spowszedniała przecież za sprawą gastronomicznych programów rozrywkowych, obejmujących obowiązkowy striptiz, przy pomocy takiego wabika trudno ściągnąć żądną nowości publiczność. Ale ostatecznie każdy ma prawo stracić swoje pieniądze, odpowiedni procent bankructw wkalkulowany jest w nową politykę gospodarczą. Z praw rządzących rynkiem wyłączony został tylko alkohol, właścicielom nie robiono więc nadziei na pomyślne

Raj na Weststreet

załatwienie sprawy koncesji, choć drink-bar został wpisany do rejestru.

A jednak otwarciu Saxy Landu w styczniu towarzyszyło zainteresowanie widzów, dobrze rokujące na przyszłość. Oszołomione dziewczęta, nie obyte jeszcze ze sceną, pytały z przerażeniem:

– *Szefie, co mamy robić?*

– *Tańczyć!* – odpowiedział pan Sławek, bo do kasy tłoczyła się kolejka i w pokoju striptizerek bez przerwy zapalała się kontrolna lampka, wywołując dziewczęta na estradę.

Chociaż dopiero debiutowały, nie były wcale takie surowe, gdyż przez miesiąc poprzedzający otwarcie klubu pobierały nauki u zatrudnionego specjalnie choreografa. Z ich naborem również nie było specjalnego kłopotu, chociaż praca była nietypowa, rzadko która kandydatka wycofała się poznając szczegóły kontraktu.

Kiedy pan Sławek zebrał już całą dziesiątkę i miał w notesie zapasowe nazwiska, uprzedził na samym wstępie:

– *Dziewczyny, ale do emerytury to wspólnie tu nie doczekamy.*

Parsknęły śmiechem. Kiedy ma się dwadzieścia lat, a najwyżej o siedem więcej, nie myśli się o tak odległej perspektywie. Interesowały je raczej dzisiejsze zarobki, choć i one nie okazały się takie wysokie: mieściły się w średniej krajowej, nie striptizerskiej, tylko pracowniczej. Do tego dochodziło wynagrodzenie ekstra, za powodzenie, premia od występów solowych. Bowiem w Sexy Landzie znajdują się dwie kabiny do indywidualnego podglądu. Na pierwszej z nich wisi spory napis: WYBRANA DZIEWCZYNA ZATAŃCZY TYLKO DLA CIEBIE 50 000 – 5 MIN. Na drugiej podobny napis zapowiada występ dwóch dziewcząt za 100 000 zł, czas popisu ten sam.

W kabinie przypominającej telefoniczną celkę jedną ze ścian stanowi gruba, centymetrowa szyba. Wybrana dziewczyna pojawia się w bliźniaczym pomieszczeniu: jest niemal w zasięgu ręki, ale dotknąć jej nie można, oddzielona jest przezroczystą przegrodą. Niektórzy mężczyźni traktują tę ściankę jak szkolną tablicę: mazakami piszą słowa zachwytu, proponują spotkanie po pracy. Czasem zdarzają się i dłuższe listy wetknięte do otworu, gdzie trzeba wrzucić bilet na występ solowy. Niekiedy w kopercie są także pieniądze, ale to wyjątek.

Jeden z klientów o artystycznych zamiłowaniach usiłował uwiecznić na szybie sylwetkę swojej wybranki: była przecież tak blisko, obrysowywał po prostu jej kształty. Mazak pracował szybko, bo dziewczyna tańczyła. Po seansie została na szkle siatka niemal nieczytelnych kresek, swoiste picassy: przeżycia nie udało się utrwalić.

Niekiedy w kabinie super solo pojawia się kobieta, ubrana i wyniosła: krytycznie spogląda na tancerkę. Zakończeniu seansu towarzyszy najczęściej komentarz:

– *Przecież ona nawet nie ma co pokazać!*

Nie są to wypadki częste, choć bardzo tremują dziewczęta, które i tak pracują zawsze w warunkach stresu wkalkulowanego w ich zawód. Dla jednej z nich najbardziej zaskakujące było przyjście do Sexy Landu księdza z jej własnej parafii. Ubrany po cywilnemu, wtopiony w anonimową grupę przypadkowych bywalców, w milczeniu obejrzał seans i po raz drugi już się nie pojawił.

Są bywalcy, którzy tu wracają, zjawiają się po raz drugi, trzeci, dziesiąty. Dziewczęta znają ich z widzenia, bo stali klienci po pewnym czasie wybierają tę samą tancerkę, która widocznie szczególnie przypadła im do smaku. Ci najbardziej wytrwali przy odrobinie szczęścia mogą się umówić ze swoją wybranką w barku na kawę, decydują o tym same dziewczyny. To najbardziej intymny kontakt, na jaki może liczyć bywalec Sexy Landu, panują tu bowiem bardzo surowe obyczaje. Niektórzy nie poprzestają na tym, czekają na ulicy do zamknięcia lokalu. Wytrwałość ta nie znajduje nagrody: dziewczęta po pracy firmowym samochodem odwożone są do domu.

– *Lubię się podobać* – mówi Ania, chyba najmłodsza z tych dziewcząt. – *Jeśli mężczyzna, który siedzi w kabinie uśmiecha się, to ja jestem zadowolona.*

Twierdzi, że taki szczery uśmiech daje chęć do pracy i poczucie własnej wartości. Ania cieszy się tu powodzeniem, wczoraj tańczyła aż czternaście razy.

Ania (są tutaj trzy Anie) ma narzeczonego. Irena jest mężatką, ma także dziecko. Z pracy jest zadowolona. Teraz już i mąż inaczej na nią patrzy, bardzo ją to podbudowało.

– *Wszystkie wyzbyłyśmy się tu kompleksów* – dodaje Irena.

Pracuje tutaj najdłużej, pełne trzy miesiące. Rotacja jest szybka. Niektóre dziewczęta nie wytrzymują presji swoich bliskich, inne skorzystały z okazji, aby wyjechać za granicę. Dwie występują w Norwegii, dwie inne pracują w nocnych lokalach w Czecho-Słowacji.

Ela zauważyła, że najmniejszy ruch panuje w soboty i niedziele.

– *Marnotrawni mężowie wracają na łono rodziny* – ujmuje sentencjonalnie swoją socjologiczną obserwację.

Najmniej rozmowna jest Gosia.

Ale dziś dziewczęta mają dużo pracy, to środek tygodnia. W ich pokoju zapala się lampka, trzeba wyjść na scenę i w tańcu zrzucić swoje szmatki. Są z nich dumne, same je projektowały. Nie chcą, aby ich bielizna przypominała tę kupną, z sex shopu, a musi być w niej coś, co przyciąga.

Styl to człowiek, powiedział jeden z francuskich monarchów. Queens of tonight same doszły do tej prawdy. Znaleźć swój styl bez ubrania – to już wymaga talentu.

Konrad Frejdlich

Sprzedano nie mniej niż 700 butelek spirytusu z 40-krotnie przekroczoną normą trucizny

Alkohol już sam w sobie jest napojem trującym – a szczególnie jego polskie odmiany, nawet te niegdyś markowe – czego dowód pojawia się nazajutrz, po, dajmy na to, imieniach Zosi. Testowany sporadycznie bądź w umiarkowanych ilościach nie zagraża zdrowiu ani życiu, chyba że ma się pecha. Były przypadki kupowania na melinach kradzionego skądś tam metylu, ale idąc na melinę, człowiek składa swój los w swoje ręce i do siebie tylko może mieć pretensje, jeżeli spotka go jakakolwiek niespodzianka. Nie ma wszak obowiązku korzystania z niepewnych źródeł. Jeśli jednak w NORMALNYM sklepie podtyka się nam pod ufny nos truciznę, to już jest skandal i kryminał. A tak właśnie zdarzyło się w Sieradzu.

Pro-mille pro-minenta

Tuż obok wielkiego targowiska miejskiego leżącego przy szosie przelotowej Łódź – Wrocław, noszącej od niedawna imię Jana Pawła II, stoi, z drugiej strony placu, duży pawilon handlowy pn. „Bartek". Na jego zachodniej ścianie znalazł miejsce sklep winno-cukierniczy, w którym pojawił się pewnego dnia spirytus rektyfikowany o mocy 96 proc. Zbiegło się to jakoś z zapowiedzią podwyżki cen na alkohol, nic więc dziwnego, że społeczeństwo „w try miga" wykupiło towar, gdyż każdy ma wcześniej czy później – jakieś święto w rodzinie: komunię, chrzciny (czy wręcz przeciwnie) i mimo nawoływań Kościoła, nie chce ich czemuś chcić samą tylko Pepsi-Colą.

Sklep ów należał do PSS „Sieradzanka", która wybrała sobie agenta, nazwijmy go Heniuś (prokurator nie zezwolił na podanie prawdziwych danych) i dał mu placówkę w arendę. O tym, kto agent zacz, nieco dalej, bo to niezwykle interesujące. Teraz wróćmy do spirytusu.

Otóż, konsumenci fachowcy, a tych – jak wiadomo – w Polsce huk i zatrzęsienie, zorientowali się szybko, że ze spirytusem coś nie jest tak. W smaku ohydna, słabsza niż powinna i mętna ciecz paląca gardło, na szczęście, zupełnie nie dawała się pić. Kilkanaście butelek trafiło do Wojewódzkiej Komendy Policji w Sieradzu, a stamtąd do KWP w Łodzi, na badania kompleksowe. Dynamiczna akcja policji szybko doprowadziła do wykrycia winnych. Wszystkie ogniwa przestępczego łańcuszka spięto kajdankami.

(Na marginesie należy dodać, że sieradzkie jest trzecim województwem w Polsce pod względem wykrywalności przestępstw – 73,5 proc.).

Teraz łatwo już było wychwycić mechanizm przestępstwa. Dojenie frajerów zaczęło się w Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej w Sieradzu. Pracownik OSM „dokonał zaboru", czyli ukradł środek chemiczny o nazwie „alizarol", który normalnie służy do badania kwasowości mleka i czyszczenia urządzeń mleczarskich (do mleka chyba się nie przedostaje, bo choć bywa ono wstrętne, jednak nie kręci w głowie, najwyżej w brzuchu). Ów „pomysłowy Dobromir" sprzedał nie mniej niż 350 litrów (jak ustalono w śledztwie) alizaro jakiemuś domorosłemu chemikowi, a ten przedestylował truciznę w oborze, żeby zgubić jej charakterystyczny niebiesi kolorek i farfoclowaty osad. Mętnawy lekko płyt rozcieńczył wodą i przelał do butelek. Od „zblatowanego" pracownika „Polmosu" kupił bez kłopotu odpowiednią ilość surowych kapsli i naklejek na butelki, po czym upłynnił towar pośrednikowi, a ten dostarczył go do sklepu agenta Heniusia. I tak trefny spirytus został wprowadzony do obrotu.

Wobec złodzieja alizarolu i „chemika-destylatora" zastosowano środek zapobiegawczy w postaci tymczasowego aresztowania. Agenta „zapuszkowano" na 48 godzin. W sklepie znaleziono tylko 2 butelki fałszywego spirytusu. Wszystko wskazywało, że zastosuje się wobec niego art. 225 KK, o oszustwo na wadze, ilości, miarze, gatunku, cenie itd., plus art. 215 §1, czyli paserstwo umyślne, gdyż do tego się przyznał. To samo wobec „destylatora" i pośrednika. Złodziej miał być oskarżony o złodziejstwo, tyle że z obostrzeniem: kto zagarnia wykorzystując działalność pracowniczą ... itd.

Wyniki ekspertyzy postawiły włosy na głowie prowadzącego dochodzenie i nowe, o wiele poważniejsze, zarzuty „destylatorowi".

Ekspertyza mechanoskopia wykazała, co można było przewidzieć, iż kapslowano na kapslownicy innej niż oryginalna „Polmos"-owska, bardziej prymitywnej, lub też wykorzystano do tego celu inne, ale równie prymitywne narzędzie. Policja ustaliła jakie, lecz go nie ujawnię, by nie ułatwiać pracy kolejnym „inżynierom i wynalazcom".

Ekspertyza fizykochemiczna brzmiała groźnie: ciecz zawiera 69-72 proc. objętościowych alkoholu etylowego (czyli „normalnego") i **1,5-2 proc. objętościowych alkoholu metylowego, co przy dopuszczalnej normie 0,05 proc., oznacza jej 30-40-krotne przekroczenie!** Instytut Medycyny Pracy w Łodzi określi precyzyjnie skład chemiczny i stopień niebezpieczeństwa, ale już teraz wiadomo, że sprzedawano truciznę.

Zarzut wobec „destylatora" uzupełniono o art. 140 § 1 pkt 3 KK, który mówi o sprowadzeniu niebezpieczeństwa powszechnego, przez wprowadzenie do obrotu środków spożywczych niebezpiecznych dla zdrowia lub życia... itd. Można za to posiedzieć od 2 do 10 lat.

Zaalarmowano natychmiast społeczeństwo. Ludzie zaczęli się zgłaszać do policji. Zabezpieczono 140 butelek z niebezpieczną zawartością. Tylko. Wobec 700, jakie sprzedano.

Sprawa stała się w Sieradzu głośna. Ludność ze zdumieniem i oburzeniem spostrzegła, że sklep jest znów czynny i sprzedaje – jakby nigdy nic – alkohol. Dopiero znacznie później prezydent miasta cofnął agentowi zezwolenie na handel spirytualiami.

Bezczelność ludzka nie uznaje żadnych granic. **Agent Heniuś obraził się śmiertelnie na policję, do tego stopnia, że chce ją skarżyć do sądu za to, że poprzez rozdmuchanie afery pozbawiła go klienteli.** „Panie, teraz trzy osoby dziennie do mnie przychodzą i to po papierosy" – oburza się ta wyjątkowo odrażająca postać.

Sklep przy bazarze miał bardzo wysokie obroty. Bliskość tłumnie odwiedzanego miejsca nie pozostawia co do tego wątpliwości (zresztą, na wódzie to i na pustyni Polak zarobi). Jednak, kto ma dużo, na ogół chce mieć jeszcze więcej, staje się pazerny, przekracza granice uczciwości, etyki (o ile zna to słowo), brnie w kurestwo. Agenta nie obchodziło, że może być sprawcą tragedii. Oślepiła go mamona. Tej mu, wszakże, nie brakowało, zważywszy, że – jak mówią na bazarze – niejako przy okazji, wykryto w sklepie schowawny towar wielomilionowej wartości. Zarobek na trefnym spirytusie jawi się więc jako niewielki. Łajdackie oburzenie na policję świadczy, że ten człowiek niczego nie zrozumiał, że jego prymitywny mózg nie jest już zdolny rozumować inaczej. Skancerowany został przez chęć posiadania.

Gdy agent siedział 48 godzin w areszcie, przyszły doń dwie panie z PSS „Sieradzanka" i wręczyły wypowiedzenie umowy agencyjnej w trybie natychmiastowym. Papierek ten policjanci widzieli na własne oczy. Ten ruch S-nia wykonała jednak wcale nie w związku z dziejącą się aferą. Przypomniano sobie jedynie przy tej okazji, że agent jest winien PSS 80 mln zł. Gdy adwokat Heniusia zapłacił dług, wymówienie nazajutrz cofnięto. Dlatego po wyjściu z zamknięcia mógł otworzyć sklep. Kierownictwu PSS, jak się okazało, zależało tylko na pieniądzach, a bulwersujące postępki agenta (również na szkodę S-ni) uznano za niewarte zainteresowania. W tej sytuacji nie mogą dziwić różne domysły i plotki sieradzan, kto, kogo, dlaczego i za ile ochrania. Prawda?

Tym bardziej, że – jak się okazuje – **agent jest byłym szefem „Solidarności" w PSS „Sieradzanka" i jeszcze nie tak dawno zaszczycił swoją świetlaną osobą poczet sztandarowy przy uroczystym odsłonięciu pomnika J. Piłsudskiego.** Sklep z wódą okazał się jednak bardziej kuszący niż perspektywa kariery związkowej. Teraz już nie jest nawet członkiem „S", wyrzucony z niej przez swą niedawną „trzódkę". Stało się to tak szybko, że nie zdążył rozliczyć kasy związkowej. Do dziś, zresztą, nie znalazł na to czasu. Prokurator szykuje się, by mu o tym przypomnieć, choć z pewnym ociąganiem (dlaczego?).

Dotychczas policja nie stwierdziła żadnego zgonu spowodowanego wypiciem trującego spirytusu. Sprawdza się jednak wszystkie przypadki śmierci w nietypowych okolicznościach. Jak dotąd – na szczęście – nie stwierdzono związku ze sprawą. Ile jednak butelek wyjechało z handlującymi tu masowo Rosjanami gdzieś dalej, ile wywieźli rodacy poza województwo sieradzkie i jeszcze nie zdążyli wznieść toastów „za zdrowie" – nie wiadomo. Czy w ogóle będzie można to stwierdzić?

Na szybie sklepowej agenta Heniusia wymalowano napis reklamowy: Uwaga! Napoje! Należy go traktować dosłownie – to jest jako ostrzeżenie.

Marek Koprowski

Wojewoda nie zamierza się ugiąć pod presją

Prezes na arenie

Prezes Zakładu Ubezpieczeń „Westa" wyraził wotum nieufności wobec wojewody łódzkiego Waldemara Bohdanowicza.

– *Nie jestem pewny władzy w tym mieście* – stwierdził prezes Janusz Baranowski, wypowiadając się dla „Odgłosów". Powiedział on następnie:

– *Nie jest to – jak twierdzi wojewoda – rozgrywka polityczna. Nie reprezentuję żadnej partii. W swoich poglądach jestem liberałem, ale nikt, zwłaszcza robiący błędy wojewoda, nie może kryć się za plecami premiera. Gdybym wystąpił po jego wizycie, byłaby dokładnie taka sama sytuacja.*

Nie jestem pewien, czy urząd wojewody wykorzystując wzory przełomu lat 40 i 50 – nie zawłaszczy majątku.

Odnoszę wrażenie, że w Łodzi znajdują odbicie słowa prezydenta Lecha Wałęsy co do niefrasobliwości, niekompetencji i korupcji wśród urzędników. Pan wojewoda powinien przejrzeć podpisywane przez siebie decyzje w sprawie prywatyzacji niektórych przedsiębiorstw i zastanowić się głęboko.

Sądzę, że gdybyśmy mieli lepszego wojewodę, to Łódź nie miałaby tylu problemów.

Jeżeli nasza firma nie jest godna, aby pomagać łódzkiemu przemysłowi, to łódzki przemysł powinien zwrócić jej pożyczone pieniądze.

Jeśli Waldemar Bohdanowicz pozostanie na stanowisku wojewody, będę żądał spłaty należności od „Foniki", „Majedu" i PPT nr 2.

Dotychczas prezes Baranowski nie ujawnił kogo widziałby na tym zaszczytnym stanowisku.

Czy widzi na nim siebie?

„Westa" w ciągu trzech lat działalności dorobiła się 200 mld złotych i 41 nieruchomości na terenie całego kraju. Posiada pakiet kontrolny akcji Próchnika, pierwszego sprywatyzowanego w Łodzi przedsiębiorstwa. Jest właścicielem drugoligowego klubu żużlowego „Stal Westa" Rzeszów oraz trzech tytułów prasowych: „Nad Wartą", „Nowiny Rzeszowskie" i „Wiadomości dnia".

Gdyby wojewoda Waldemar Bohdanowicz skłonił się do propozycji prezesa „Westy", stałaby się ona właścicielem hali należącej do ZPB „Eskimo" i nikt nie doszukiwałby się wówczas w całej sprawie motywów politycznych. Stało się jednak inaczej i prezes Baranowski, czy tego chce, czy też nie wkroczył na arenę polityczną. A ponieważ stwierdził ponadto, że *„polityka i gospodarka zawsze idą w parze"*, snuje się obecnie przypuszczenia, czy spór związany jest z zakusami Baranowskiego na urząd wojewody, czy raczej ze zbliżającymi się wyborami do Sejmu. Tym bardziej, że już w poprzednich wyborach prezes Baranowski wykazał ambicje polityczne sam kandydując na posła, a ponadto wspierając kandydatów o różnych orientacjach politycznych, z których wybory wygrał jedynie poseł Jagiełło z Sieradza startujący do wyborów z ramienia PZPR.

– *Pragnę pomóc łódzkiemu przemysłowi* – powiedział „Odgłosom" prezes Baranowski. – *Zakłady „Eskimo" dostały we wtorek od „Westy" drugą pożyczkę, gdyż uważam, że 1600 ludzi nie może iść na bruk.*

Prawda jest taka, że pracownik „Westy" zasugerował w trakcie rozmowy telefonicznej – o czym poinformował nas dyrektor ŁZR „Fonica" Kazimierz Kaniecki – że gdyby załoga „Foniki" *„porozrabiała trochę u wojewody z transparentami"*, „Westa" mogłaby cofnąć swoje żądania. „Fonica" wzięła od „Westy" w marcu i kwietniu tego roku po 3 mld złotych kredytu pod zastaw części budowanego w Pabianicach biurowca. Termin spłaty upływa dopiero w październiku. Jak stwierdził dyrektor Kazimierz Kaniecki, trudno w tej chwili przewidzieć, czy „Fonica" będzie w stanie go spłacić.

Czy łódzkie zakłady czują się zagrożone przez „Westę"?

Dyrektor „Polmatexu Majedu" Włodzimierz Szewczyk poinformował nas, że zakład nie jest dłużnikiem „Westy". Na początku tego roku „Majed" pożyczył 3 mld złotych w Łódzkim Banku Rozwoju. Kredyt ten został ubezpieczony przez „Westę", a polisa jest ważna do 28 lipca. Przy zadłużeniu, jakie ma zakład, 3 mld złotych przestało mieć znaczenie – stwierdził dyrektor.

Dyrektor ZPB „Eskimo" porównał całą sytuację do burzy w szklance wody. „Eskimo" zaciągnęło w „Weście" 2 mld złotych kredytu, który ma spłacić w trzecim kwartale tego roku. Zakład nie jest zagrożony bankructwem, przynosi zysk. Odbiorcy są mu winni obecnie 30 mld złotych. Kwota 2 mld złotych, zdaniem dyrektora, na pewno nie przesądzi o losach fabryki.

Przedsiębiorstwo Przewozów Towarowych nr 2 pożyczyło od „Westy" w kwietniu tego roku 3,5 mld złotych. Termin spłaty upływa 30 września. Dyrektor ds. ekonomicznych w PPT nr 2 powiedział „Odgłosom", że terminu spłaty przedsiębiorstwo dotrzyma, a ponieważ obie strony są poważnymi kontrahentami, nie ma powodu do obaw.

Czy prezes Baranowski jest w stanie zagrozić łódzkiemu przemysłowi? Podobno przedsiębiorstw zadłużonych w „Weście" jest kilkanaście. Jeśli do tego dojdzie, wojewoda Waldemar Bohdanowicz będzie miał twardy orzech do zgryzienia. Wojewoda nie zamierza jednak ugiąć się pod presją prezesa Baranowskiego i nie złoży urzędu, jak powiedział „Odgłosom": – *„Nie prezes Baranowski mnie mianował i nie on będzie mnie odwoływał"*.

Beata Kostrzewska

Jak za darmo, to i na głodno!

Ucieczka z pleneru

Miał to być plener tani (bo uczelnia, PWSSP, biedna) i częściowo sponsorowany przez Biuro „R-S" w Łodzi, bo dyr. Biura, pani Barbara Miedziak, ofiarowała studentom darmowe zakwaterowanie w domkach campingowych Ośrodka Wypoczynkowego Firmy Larox w Soczewce koło Płocka. Wystarczyło zapłacić tylko 30 tys. od studenta za dwa posiłki dziennie: śniadanie i obiad, i już można przez 19 dni wyżywać się artystycznie, malując choćby szuwary pobliskiego jeziora, jak to czynił słynny malarz Porwasz z równie słynnych Skiroławek. Umowa zawarta między opiekunem pleneru, Witoldem Kalińskim a panią dyrektor głosiła, że w dowód wdzięczności studenci pozostawią swemu sponsorowi po jednym obrazie, którymi fundator ubarwi ściany swego łódzkiego biura.

No to pojechali. Domki, i owszem – były. Wszystkie, te dla studentów, z powyrywanymi zamkami. Spać w tych domkach było na czym, lecz nie było ani kołder, ani koców. Po wielu awanturach otrzymali je do wyposażenia domków w liczbie aż 1 kołdra (jedna), 2 koce (dwa), 2 śpiwory (dwa) na dziewiętnastu uczestników. Plener odbywał się w raczej chłodnych dniach czerwcowych: 10–19, upały nie biły żarem, wręcz przeciwnie, ale studenci młodzi, zdrowi, mogą spać w skarpetkach i swetrach, a przykrywać się symbolicznie chusteczką do nosa. Natryski siekły lodowatą wodą. W wyniku wielu nieco przygłośnych słownych interwencji ciepłą „puszczono" w czwartym dniu pobytu. Wymagania takie, jakby płacili, jak ktoś darmo klincuje, niech za wiele nie oczekuje. W najbardziej jednak reprezentacyjnym stanie znajdowały się przybytki zwane elegancko toaletami, korzystać z nich można wyłącznie na własną odpowiedzialność. Na ich bieżący stan wpływali wybitnie „dodatnio" liczni, handlowi turyści ze Związku Radzieckiego. Autokary z nimi wymieniały się co trzy dni. Turyści w liczbie około osiemdziesięciu luda dziennie, spali w Ośrodku, jadali z plenerem w Ośrodku, a handlowali już poza Ośrodkiem.

Część studentów chciała nawiać natychmiast. Opiekunowie usiłowali się porozumieć z organizatorem i sponsorem ich łaskawym w jednej osobie czyli z panią dyrektor „R-S", aliści w Łodzi jej nie było: wyjechała służbowo do Kraju Rad. Współwłaściciel Ośrodka Larox, Z. Mordalski, co prawda był obecny, ale nie był chętny ani otwarty na rozmowy. Drugi współwłaściciel R. Miedziak, syn pani dyrektor „R-S", w trakcie trwania pleneru nie ujawniał się.

Zamki w drzwiach założyli na własny koszt. U ślusarza z Płocka płacąc mu 159 tys. zł. W brudnej stołówce o łuszczących się ścianach otrzymywali swój już płatny posiłek: pyszne śniadanko i równie pyszny obiadek. Oto przykład obiadowego menu: na pierwsze zupa, bliżej nie zidentyfikowana, na drugie 1 jajo (jedno) plus łycha kartofli z lekka poczerniałych, tudzież kilka plasterków ogórczanych zwanych mizerią. Zamiast plenerować, jeździli uzupełniać niedobory jedzeniowe. Brudy w stołówce i na terenie Ośrodka wyzwoliły w nich wzmożoną pracę szarych komórek. Pogłówkowali intensywnie i... pojechali do Państwowego Terenowego Inspektoratu Sanitarno-Epidemiologicznego w Gostyninie. Okazało się, że główkowali słusznie. Stacja Sanitarno-Epidemiologiczna na podstawie przeprowadzonej jeszcze 17 maja kontroli sanitarnej w stołówce Ośrodka sporządziła protokół i na piśmie wezwała p. Mordalskiego do usunięcia rażących uchybień w terminie do 10 czerwca. Wnosząc po stanie łuszczących się na brudno ścian stołówki – uchybienia trwały nadal. Studenci wraz z opiekunami pleneru nie mieli już jednak możliwości sprawdzenia na własną rękę, czy został np. „uaktualniony wynik badania wody" oraz czy zatrudniony w kuchni personel „uaktualnił" tak zwane książeczki zdrowia.

Siedemnastu studentów w tych warunkach nie dotrwało do końca pleneru, zdezerterowało w kierunku Łodzi.

Dyr. Barbara Miedziak, gdy dzwoniłam do „R-S", znowu była nieobecna z powodu kolejnej podróży służbowej za wschodnią granicę. Jej zastępczyni na temat uchybień sanitarnych nie chciała ze mną rozmawiać, natomiast w temacie wyżywieniowym zdementowała informację o 100-procentowym narzucie: studentów karmiono za całe 20 tys. zł, a narzut wynosił tylko 10 tys. od trzydziestu.

Ale opiekun pleneru, W. Kaliński, po powrocie z Soczewki miał jeszcze ten fart i rozmawiał z panią dyrektor „R-S". Nie zgodziła się ona z jego zarzutami, natomiast przypomniała, iż studenci mieszkali za darmo, a jeśli chodzi o jakość i ilość wyżywienia? – to czego można się spodziewać za tak nisko skalkulowaną stawkę przy obecnej drożyźnie? Pani dyrektor podkreśliła, że jej zdarza się płacić w restauracji za obiad i trzysta tysięcy!

Studenci na taaakie obiady nie liczyli. Ale na 1 jajo (jedno) też jednak nie.

Dlatego PWSSP wystąpiła do „R-S" o częściowy zwrot kosztów żywienia.

Ewa Ostrowska

Samoistny akt sztuki konceptualnej z użyciem dźwigu na kółkach

Kamień szyderstwa

Stał. Stał i mszał. Obrastał mchem i niepamięcią. Przez lata przywiązały się do niego okoliczne psy i gołębie. I tylko one zostawiały tu swe ślady. Zostawiały i odfruwały. Psy także, obwąchawszy i opuściwszy po uprzednim podniesieniu w jednym tylko celu tylne łapy, odchodziły. A on stał. Obok niego przejeżdżały tramwaje i autobusy. Bez wrażenia mijali go przechodnie. Mijały lata. Zmienił się ustrój. On stał. Historia zaznaczała swe przebiegi kolejnymi zmianami nazwy „jego" ulicy, która z Głównej zmieniła się w aleję Mickiewicza, a od niedawna czci pamięć marszałka Józefa Piłsudskiego. On był niewzruszony. Stał. Tkwił. Trwał. Długie dziesięć lat. Aż nagle... Wielki kamień z umocowaną nań niewielką tabliczką głoszącą, iż w miejscu, w którym go postawiono wzniesiony zostanie nowy gmach Filharmonii Łódzkiej ***nagle zniknął!***

* * *

Lata jego wytrwałej, niewzruszonej służby okazały się ***bezowocne*** *dla idei, którą widomie zaznaczać miał w śródmiejskim pejzażu miasta. Nie zbudowano nowego gmachu filharmonii. Kolejni jej szefowie, z dobrą wiarą zapewniani przez władze miasta o rychłym rozpoczęciu inwestycji, szybko rezygnowali z kierowania zespołem szczycącym się co prawda wysokim poziomem artystycznym i nadanym mu imieniem Artura Rubinsteina, ale boleśnie przeżywającym najpierw niewesołą perspektywę zwalenia mu się stropu na głowę, potem zaś zestresowanym bezdomnością i statusem uciążliwego sublokatora w zniechęcająco dla melomanów położonej szkole muzycznej. Od kilku zaledwie miesięcy łódzcy filharmonicy cieszą się większą nieco lecz także tylko namiastką warunków niezbędnych dla koncertowania, ale akustyka sali, w jakiej znaleźli schronienie, nie pozwala na dokonywanie w niej nagrań płytowych. Owe minimum warunków dziś trzeba jednak uznać za szczyt możliwości miasta. Jego znana wszystkim dramatyczna sytuacja finansowa nie pozwala, jak się zdaje, nawet marzyć o rozpoczęciu w dającej się przewidzieć przyszłości inwestycji tak kosztownej jak budowa filharmonii na miarę XXI wieku.* ***Bezowocność owych dziesięciu lat,*** *jakie minęły od czasu, gdy za sprawą pełnego najlepszych chęci Społecznego Komitetu Budowy Filharmonii stanął w Łodzi kamień, który tak nieoczekiwanie zniknął w pierwszych dniach czerwca tego roku* ***nie oznacza beztroski czy też braku zrozumienia*** *przez łódzkie władze problemów kultury. Ów kamień stał się przede wszystkim* ***symbolem bezsilności.***

* * *

Bezradna wobec swych problemów lokalnych – o czym również warto, jak sądzę, przy tej okazji wspomnieć – jest także inna łódzka ważna dla kultury całego kraju instytucja: Muzeum Sztuki, które z powodu szczupłości sal ekspozycyjnych prezentuje nam zaledwie trzy procent (!) swych bogatych zbiorów. Reszta (!!!) przechowywana jest w zawilgoconych piwnicach, a otrzymywanych z całego świata darów z tych właśnie powodów Muzeum nie może przyjmować. Ono także zasługuje na nową siedzibę. Ono także, również dziesięć lat temu, powołało społeczny komitet jej budowy. Wtedy też, podobnie jak w przypadku Filharmonii, wyznaczono już nawet lokalizację. Kto dziś pamięta, iż nowy gmach stanąć miał w okolicach parku na Zdrowiu.... Nie stanął tam nawet kamień. Pozostała, jak w przypadku Filharmonii, ***bezsiła.***

* * *

Silny dziś okazuje się tylko handel. W dawnej siedzibie łódzkiej filharmonii mieści się dziś „dom towarowy" HIT. Warunki sprzedaży nakazywałyby nazwać go zgoła inaczej: równie krótko i do rymu. Siłą jest dziś przedsiębiorczość. Może więc zrodzoną z owej przedsiębiorczości ideę budowy w Łodzi nowego wspaniałego hotelu dałoby się połączyć z ideą uwzględniania w jego projekcie godnej naszego miasta sali koncertowej i galerii wystawienniczej?

Bezsilność jest bolesnym uczuciem. *Ile trzeba siły by wzruszyć kamień, gdy naprawdę nic się z niego przecież nie da wycisnąć, bo z pustego i Salomon nie naleje...? Ile trzeba siły, by go dźwignąć i podnieść...? Być może tyle samo, ile trzeba jej, by na nowo „podnieść temat", czyniąc to po to, by nie zapadł on w niepamięć jak przysłowiowy kamień w wodę... Tyle, ile siły ma dźwig, przy pomocy którego przeniesiono ów kamień niefilozoficzny, a „filharmoniczny" z ulicy Piłsudskiego na dziedziniec Muzeum Kinematografii? Bo tam właśnie „odnalazł" się ów kamień, co w związku z pomysłem i sposobem jego przetransportowania, jedni nazwali skandalem i pospolitą kradzieżą, inni zaś – akcją artystyczną; samoistnym aktem sztuki konceptualnej. Jak się zdaje nie ze wstydu skryli go przed oczami przechodniów pomysłodawcy tej akcji. Oni bowiem zorganizowali uroczyste „odsłonięcie" tego kamienia jako muzealnego eksponatu – symbolu naszych chęci i zapału. Filharmoniczny kamień niewątpliwie* ***przestał być kamieniem szyderstwa. Nie stanie się też, jak sądzę, kamieniem obrazy,*** *choć spór o jego miejsce trwa i nie nam, dziennikarzom, spór ów rozstrzygać.*

* * *

Ten kamień uliczno-muzealny to ***kamyczek do ogródka naszej pamięci o sprawach i potrzebach łódzkiej kultury.*** *Niezależnie od tego, kto i jak rozstrzygnie toczący się wokół niego spór, pamięć tę musimy w sobie podsycać. Jej symbolicznym, choć i bardzo konkretnym zarazem ogrodem może być zarówno muzealny dziedziniec, jak i skwer przy ruchliwej, śródmiejskiej ulicy. Oby tylko ogród ów owocował najobficiej! Oby i dla łódzkiej kultury nadeszły lata urodzaju!*

Ewa Pankiewicz

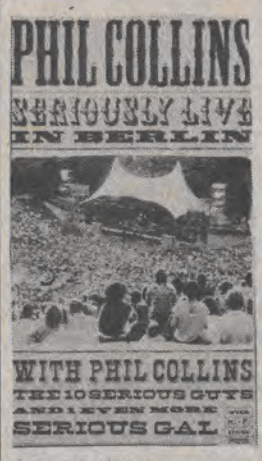

PHIL COLLINS

„SERIOUSLY LIVE IN BERLIN"

Hand in hand /Hang in long enough /Against all odds /Don't lose my number /Inside out /Do you remember? /Who said i would / Another day in Paradise / Separate lives /Saturday night and sunday morning /The west side /That's just the way it is /Something happened on the way to heaven /Doesn't anybody stay together anymore /One more night/ Colours /In the air tonight /You can't hurry love /Two hearts /Sussudio /A groovy kind of love / Easy lover /Always /Take me home.

WARNER VISION 166 min.

Phil Collins po nagraniu swojej czwartej płyty solowej „...but seriously" ruszył – zgodnie z prawami show- businessu – **w trasę, będącą promocją tego albumu.**

Koncerty podczas trasy „Serious tour 1990" trwały dziewięć miesięcy, obejmowały 122 miasta na całym świecie i zakończyły się na jesieni w nowojorskiej Madison Square Garden. Efektem tournee jest pierwsza koncertowa płyta Phila **„Serious hitslive!"** oraz trzecia już w jego dorobku koncertowa kaseta video **„Seriously live in Berlin".**

Kaseta zawiera pełny zapis koncertu w berlińskim Amfiteatrze Leśnym, który odbył się w lipcu 1990 roku. Na trwający aż **166 minut(!)** koncert składają się 24 utwory, w większości znane hity. Co było grane? Znawcom wystarczy następujące zdanie: od **„In the air tonight"** po nagrodzony Grammy Awards '90 **„Another day in Paradise".** Dodatkową atrakcją kasety są wersje utworów, nie publikowanych na czterech solowych płytach Collinsa, a więc: **„Against all odds", „Separate lives", „Two hearts", „A groovy kind of love", „Easy lover"** oraz absolutna nowość w repertuarze Phila, standard Irvinga Berlina z 1925 roku, **„Always".** W czasie koncertu Phil śpiewa, gra na fortepianie oraz obsługuje perkusję (świetne sola w „The west side" i „In the air tonight"). Na scenie od pierwszego utworu umie nawiązać kontakt z publicznością, zapowiada (nawet po niemiecku), tworzy komiczne sytuacje, opowiada dowcipy, wzorując się na swym ulubionym komiku Steve Martinie. Już sama prezentacja muzyków to niezły kabaret. Ale czy może zachowywać się inaczej człowiek, który mówi o sobie: *„Humor jest najważniejszym elementem mojego życia".*

Podczas koncertu towarzyszy Collinsowi fantastyczny 11-osobowy zespół, doskonale radzący sobie zarówno w utworach balladowych, w soulowych numerach przypominających lata 60. oraz wytwórnię Tamla Motown, jak też w tematach rozbudowanych instrumentalnie... Jeżeli można kogoś wyróżnić, to: **Chestera Thompsona** grającego na drugiej perkusji, **Daryla Stuermera** za sola na gitarze, saksofonistę **Dona Myricka** oraz **Bridgettę Bryant**, wykonującą w duecie z Philem temat miłosny **„Separate lives"** z filmu **„White nights".**

Ponad 20-tysięczna publiczność podczas koncertu wspaniale się bawi. Przy utworach balladowych zapala zapalniczki i zapałki (taka moda), natomiast przy kawałkach soulowych podskakuje i klaszcze w rytm muzyki. A że koncert podobał się nie tylko publiczności w berlińskim Amfiteatrze świadczy fakt, że kaseta „Seriously live in Berlin" znajduje się na pierwszym miejscu zestawienia najchętniej kupowanych kaset muzycznych video wg magazynu **„Der Musikmarkt".**

Po ukazaniu się pierwszego albumu Phila Collinsa **„Face value"** (1981) amerykańska prasa stwierdziła, że jest to *„płyta muzyka, który będzie miał decydujący wpływ na muzykę lat osiemdziesiątych".* Po obejrzeniu tego koncertu, patrząc na formę 40-letniego artysty nie pomylę się twierdząc, że jest to muzyk, który będzie miał duży wpływ na muzykę lat dziewięćdziesiątych.

Phil Collins na video:
1. Video ep (1982) – teledyski
2. Live at Perkins Palace (1982) 3. No jacket required (198 5) – teledyski
4. No ticket required (1986)
5. The singles collection (1988) – teledyski
6. Seriously live in Berlin (1990)

Andrzej Woszczyk

Zaproszenie do wspomnień

Już dawno nie było w Łodzi takiego koncertu! Po odwołaniu ostatnich występów **„Maanamu"** i **„De Mono"** chyba mało kto mógł przypuszczać, że w naszym mieście uda się w najbliższym czasie zorganizować imprezę muzyczną na większą skalę. Magnesem, który 8 lipca przyciągnął do Hali Sportowej tłumy, był zespół **„Czerwone Gitary"** obchodzący w tym roku ćwierćwiecze swego istnienia.

Zorganizowany przez Estradę Łódzką koncert okazał się strzałem w dziesiątkę. Publiczność rozgrzana przez występujących w pierwszej części **Hannę Banaszak, Andrzeja Rosiewicza i Kabaret „Elita"**, powitała **Dornowskiego, Krajewskiego i Skrzypczyka** z entuzjazmem. W trakcie ich występu widzowie dali liczne dowody, że nie zapomnieli ani jednej nuty, ani jednej zwrotki **„Anny Marii", „Nie zadzieraj nosa", „Wschodu słońca w stadninie koni"** i innych przebojów zespołu. Oklaski i wargi nucące melodie z przeszłości, tańce, wężowe korowody, owacje pod sceną i żądania kolejnych bisów były odpowiedzią na wyśpiewane pytanie *„czy warto było kochać nas?...".* Niejeden raz płonęły już na koncertach zapałki, ale kiedy wszyscy na stojąco, w milczeniu, trzymając się za ręce słuchali **„Białego krzyża"** – utworu napisanego przez założyciela zespołu **Krzysztofa Klenczona,** który 10 lat temu zginął w wypadku w Chicago – kiedy w mroku zamigotały maleńkie ogieńki, po sali przeszedł dreszcz, a dojrzali mężczyźni ukradkiem ocierali oczy.

Posiwiali, z przerzedzonymi włosami, ale będący w niezmiennie dobrej kondycji muzycy zaprosili swoich rówieśników do odbycia sentymentalnej podróży w lata młodości. Ich proste, bezpretensjonalne, łatwo wpadające w ucho piosenki wydobyły z pamięci wspomnienia pierwszej miłości, randki, wyznania, pierwsze potańcówki, zranione uczucia, górne plany i deklaracje. Na kilkadziesiąt minut oddaliły obowiązki, nie spełnione zamierzenia, kompromisy i zawiedzione nadzieje.

Razem ze średnim pokoleniem bawili się młodzi, których jeszcze nie było na świecie, gdy „Czerwone Gitary"stawiały pierwsze kroki na estradzie. Być może nadeszła pora odpoczynku od protest-songów, heavy-metalowego hałasu i dyskotekowej sieczki. Może następne pokolenie wraca do urokliwych rytmów z młodości swoich rodziców.

Monika Matuszak

Muzyczny serwis

Z kraju: 26 i 27 lipca odbędzie się **IX Muzyczny Camping w Brodnicy.** Udział zapowiedzieli m.in. **Tadeusz Nalepa, Easy Rider, Nocna Zmiana Bluesa, Monkey Business** oraz **Gang Olsena.** W dniach 1-3 sierpnia miłośnicy muzyki rockowej spotykają się na **Festiwalu w Jarocinie** (karnet w cenie 99.999 zł). Trzeci dzień Festiwalu ma być transmitowany przez II program TV. Jako gwiazda ma wystąpić zespół **Happy Mondays** z Anglii, plus cała polska czołówka rockowa: **Armia, De Mono, Lech Janerka, Stanisław Sojka, Voo Voo** oraz wielu innych wykonawców 30 lipca TV przeprowadzi 2-godzinną bezpośrednią transmisję z koncertu wspaniałego tenora **Luciano Pavarottiego** w Londyńskim Hyde Parku Nie udały się trasy koncertowe **Maanamu, Lady Pank i Ziyo.**

Ze świata: Krytykom nie podobało się oratorium **Paula McCartneya** napisane dla Liverpoolskiej Orkiestry Filharmonicznej obchodzącej 150 rocznicę istnienia, mimo udziału 100-osobowego chóru oraz jednej z najznakomitszych sopranistek **Kirite Kanawy.** Paul Mc Cartney zapowiedział już trasę koncertową po świecie z tym oratorium. **Yoko Ono** zamierza fundować stypendia dla zdolnych studentów uniwersytetu w Liverpoolu. **Frank Zappa** chce kandydować na prezydenta w najbliższych wyborach w USA. **Bonnie Rait** swoją nową płytę **„Luck of draw"** nagrała dla wytwórni Capitol po złych przeżyciach z wytwórnią Warner Bros. Płyta „Legend of a band" grupy **The Moody Blues** oprócz starych przebojów grupy zawiera trzy nowe utwory: Highway, Lean on me (tonight) oraz Say it with love Producentem nowej płyty **Toma Petty'ego** „Into the great wide open" jest **Jeff Lynne** (Ex- Elo). Singel „Learning to fly" z tej płyty znajduje się obecnie na pierwszym miejscu rockowej listy „Bilboardu" **Prince** jest producentem płyty (!) aktorki **Kim Basinger** (9 i pół tygodnia, Batman). Tytuł płyty – „The other colour of sex" Dzięki współczesnej technice na płycie **Natalie Cole** „Unforgettable" mogło dojść do duetu z jej zmarłym w 1965 roku ojcem **Nat „King" Cole'm** „Dangerous", to tytuł nowej, jeszcze nie wydanej płyty **Michaela Jacksona Whitney Houston** zagra obok **Kevina Costnera** w jego nowym filmie „Bodyguard" Na aukcji w nowojorskim Domu Aukcyjnym Sotheby's sprzedano za 30.800 dolarów gitarę **Johna Lennona** oraz za 2.700 dolarów list **Elvisa Presleya,** w którym grozi swoim naśladowcom procesami sądowymi.

A.W.

Hej Kociaki!

Witamy Was po raz kolejny gorąco i obiecujemy, że tym razem przeczytacie coś ekstra.

Dwa tygodnie temu pisaliśmy o Jacku, lecz ŁC-FC ma również wielu przyjaciół i to właśnie im poświęcimy część dzisiejszej rubryki.

ŁC-FC bardzo mocno kocha aktora teatru muzycznego **Lesława Białeckiego,** który jest człowiekiem wrażliwym i subtelnym. Uważamy Lesia za wspaniałego artystę o bardzo pięknie brzmiącym barytonie. Aktor, mimo swego zapracowania, zawsze znajduje dla nas czas, aby posiedzieć przy kawie i troszkę poplotkować.

Następnym przyjacielem fan-clubu jest niezastąpiona p. **Elżbieta Hładuńska,** której już dziś dziękujemy za włączenie się w nasze szalone pomysły oraz za zaprojektowanie wizytówek ŁC-FC. Wiele serca okazała nam również wspaniała artystka polskiej estrady, p. **Irena Santor.**

Naszymi przyjaciółmi są także panowie: **Wojciech Młynarski, Zbigniew Wodecki** oraz **Artur Barciś.** Wszystkim wymienionym tutaj osobom jesteśmy bardzo wdzięczni za serdeczną aprobatę!

Na deser zostawiamy sobie 100 gorących słów dla Państwa: **Anny Jabłońskiej, Mirosława Kulisia** oraz dla pana **Witka,** dyr. ŁTM. To właśnie dzięki tym osobom zdobyliśmy obecną pozycję; obiecujemy, że nie zawiedziemy pokładanych w nas nadziei.

Po tej olbrzymiej dawce serdeczności przejedziemy się do Krakowa, gdzie 28 VI 91 r. fan-club miał zaszczyt gościć w **„Piwnicy pod Baranami"** na ostatnim w tym sezonie występie Kabaretu. Przedstawienie oglądało tylko dwoje członków fan- clubu, gdyż reszta musiała być – surowym zarządzeniem beznadziejnej, zarozumiałej recepcjonistki krakowskiego schroniska przy ul. Oleandry 4 – o godz. 23.00 na miejscu, a koncert rozpoczynał się o 22.00. Negatywny stosunek do nas tej pani nie zdołał jednak popsuć nam samopoczucia.

Następnego dnia spotkaliśmy się w kawiarni na Starym Rynku z Jackiem Wójcickim oraz jego „partnerką w interesach", p. Małgorzatą. Po 15 min. dołączyła do nas inna znajoma Jacka, pani Grażynka, artystka Piwnicy. Spotkanie upłynęło w niemiłej atmosferze, ale i to nie popsuło nam humorów. Urzekający Kraków zagościł w naszych sercach na stałe.

Jacek podarował swoim fanom materiały reklamowe mówiące o jego działalności: płyty, czasopisma, zaproszenia, itp. Po wyjściu z kawiarni, zrobiliśmy vis á vis pamiątkowe fotki do kroniki ŁC-FC. Jacek pozostał, mimo wszystko, w naszej pamięci takim, jakim był na wspólnej kolacji w Łodzi.

Wierzymy, że i od Was będą napływały kolejne sympatyczne listy, które podtrzymują nas i artystę na duchu oraz pozwalają wierzyć nam, że jesteśmy Wam potrzebni.

Za tydzień przeczytacie o wakacyjnych planach Jacka Wójcickiego i jego fan-clubu.

Jacek (nie Wójcicki)

Łódzki Centralny Fan-Club Jacka Wójcickiego „Corrida" ul. Sanocka 27 m. 13, 93-038 Łódź

WIERSZE PIĘKNE

Stanisław Barańczak

N.N. próbuje przypomnieć sobie słowa modlitwy

(Z poematu „Sztuczne oddychanie")

Ojcze nasz, który jesteś niemy,
który nie odpowiadasz na żadne wołanie,
a tylko rykiem syren co rano dajesz znać, że świat
ciągle jeszcze istnieje,
przemów:
ta dziewczyna jadąca tramwajem do pracy,
w tandetnym płaszczu, z trzema pierścionkami
na palcach, z resztką snu w zapuchniętych oczach,
musi usłyszeć Twój głos,
musi usłyszeć Twój głos, by się zbudzić
w ten jeszcze jeden świt.

Ojcze nasz, który nic nie wiesz,
który nie patrzysz nawet na tę ziemię,
a tylko codzienną gazetą obwieszczasz, że świat, że nasz świat
trwa uporządkowany,
spójrz:
ten mężczyzna siedzący za stołem, schylony
nad kotletem mielonym, setką wódki, płachtą
popołudniówki tłustą od sosu i druku,
musi wiedzieć, że Ty także wiesz,
musi wiedzieć, że wiesz, aby przeżyć
ten jeszcze jeden dzień.

Ojcze nasz, którego nie ma,
którego imienia nikt nawet nie wzywa
prócz dydaktycznych broszur piszących cię z małej litery, bo świat

radzi sobie bez Ciebie,
bądź:
ten człowiek, który kładzie się spać i przelicza
wszystkie swoje dzisiejsze kłamstwa, lęki, zdrady,
wszystkie hańby konieczne i usprawiedliwione,
musi wierzyć, żeś jednak jest,
musi wierzyć, żeś jest, aby przespać
tę jeszcze jedną noc.

Pepsi-Cola miała już gorzki smak. W niepamięć oddalały się niegdysiejsze sny o daczy i małym fiacie. Mijała gierkowska epoka. Był już Radom-76 i Komitet Obrony Robotników. Był Stanisław Barańczak, poetyckie bożyszcze mojego „późnego dzieciństwa".

„to tylko słowo „nie", ostatni krzyk
modlitwy krwi, którą dzisiaj odmawiam za ciebie,
którą odmawiam sobie prawa do odejścia"

Lub inaczej:

„Z głową
lekko wzniesioną, ze szczerym spojrzeniem utkwionym

w przyszłość, którą znajduje się (jak powszechnie wiadomo)
zawsze o stopień wyżej na ruchomych schodach postępu,"

Tak zapadają w pamięć: bunt i pierwsze nad strachem zwycięstwo, odkrycie prawdy i przyjaźnie, które zostają
na długo. Zaprawdę
był
naszym poetą.

Tę świecką modlitwę, z pierwszego podziemnego tomu Stanisława Barańczaka odmawiałem wielokrotnie. Byłem także mężczyzną bezsensownej pracy i mielonego kotleta. I także musiałem *„przespać tę jeszcze jedną noc".* I chociaż znałem ogniska oporu dawałem wiarę innemu sformułowaniu, innemu poecie, *„Nawet milczenie miało być przemilczane".*

Trzeba było paru chwil dziejowych, aż runęły filary tamtej rzeczywistości. Wszechobecna propaganda i cenzura. Okrutny gorset geopolityki. A jednak wracam do tego wiersza, który przecież z niej wyrastał i na nią odpowiadał.

Wracam nie tylko dlatego, by złożyć hołd poecie kochanemu, obecnie raczej szanowanemu. Również nie tylko po to, ażeby potwierdzić, że najpiękniejsze są modlitwy wątpiących.

Wracam, bo trzeba jasno powiedzieć, iż w wolnym kraju nie jest wcale łatwo *„zbudzić się w ten jeszcze jeden świt".* I nie jest najsensowniej *„na ruchomych schodach"* – tym razem przyspieszenia. W morzu etykiet i bezwstydzie licytacji, kto lepszym Polakiem i katolikiem. Więc nim przyjdzie – jeśli przyjdzie – upragnione opamiętanie, raz jeszcze wczesny Barańczak:

„bo tylko ten świat bólu; bo tylko ten świat
jest bólem; bo światem jest tylko ten ból."

Wybór i komentarz
Andrzej Babaryko

Podsłuchane Podpatrzone Odnotowane

Za kulisami estrady

Kochliwa

EWA KUKLIŃSKA, przede wszystkim ceni w życiu wolność i niezależność, ale kiedy zakocha się śmiertelnie, godzi się nawet na prasowanie koszul ukochanemu.

Mężczyźni w jej życiu spełniali ważną rolę, ponieważ jak sama niedawno mi się zwierzyła, z natury jest kochliwa. Ale to nie mężczyźni są najważniejsi w życiu znanej tancerki, aktorki i piosenkarki. Pierwszeństwo miał i nadal ma zawód i jemu wszystko jest podporządkowane. Oczywiście, mężczyźni nie byli tym zachwyceni i szybko opuszczali panią Ewę.

Ideał Ewy Kuklińskiej to mężczyzna inteligentny, wrażliwy, odpowiedzialny, przystojny, z dużą dozą szaleństwa.

Ostatni mąż (Europejczyk, przystojny, wysoki, jasnowłosy prawnik z Amsterdamu) zdawał się łączyć w sobie wszystkie te wspaniałe cechy. I chociaż było to małżeństwo na odległość Polska – Holandia, pani Ewa wierzyła, że jeśli ten związek miałby nie przetrwać z powodu odległości, to pewnie nie jest oparty na prawdziwym uczuciu. Odrobina tęsknoty tylko je podsyca.

Trzecie małżeństwo Ewy Kuklińskiej to przede wszystkim mnóstwo improwizacji i brak monotonii.

Mąż przyjeżdżał z Amsterdamu do Warszawy co tydzień, żona oczekiwała na lotnisku.

Kiedy odwiedziłem artystkę w jej warszawskim mieszkaniu (efektem spotkania był wywiad pt. „Wamp z łapanki"), mąż właśnie bawił w Warszawie.

Raczył mnie nie zauważać i ostentacyjnie opuścił mieszkanie. Po godzinie wrócił, co oznajmił gwizdaniem jednego z przebojów światowych z repertuaru żony, czyniąc to na środku ulicy. Pani Ewa wychyliła się przez okno i oznajmiła, że wywiad nadal trwa. Mąż dalej gwizdał na ulicy.

– Co tydzień w sobotę przywozi pani tego gwiżdżącego pana z lotniska, a w poniedziałek odwozi. – Dlaczego nie zdecydowała się na stałe zamieszkać za granicą?

– Miałam kilka kuszących propozycji pozostania za granicą. W Kanadzie sponsor obiecywał sfinansowanie studiów artystycznych, ale to było uwarunkowane przyjęciem obywatelstwa kanadyjskiego i stałego tam zamieszkania. Zawsze czułam się Polką i nie wyobrażam sobie jak mogłabym odciąć się nożyczkami od mojej ojczyzny. Na Zachodzie jest bardzo atrakcyjnie i czysto, ale ja zawsze stęskniona i szczęśliwa wracam do Polski, chociażby po to, aby ogrzać się psychicznie. Poza tym – jestem na tyle myślącą osobą, iż wiem, że na Zachodzie byłoby mi bardzo trudno osiągnąć ten sam pułap zawodowy, jaki mam wypracowany w Polsce. Wolę więc jeździć tam tylko na wakacje.

– Podczas gdy większość Polaków marzy o Zachodzie, pani...

– A ja nie mogę tam wytrzymać dłużej niż dwa tygodnie. Chyba, że... pracuję. Być może jestem fanatyczką pracy. Kiedyś spędziłam w Amsterdamie dwa miesiące i postanowiłam, że nigdy się to nie powtórzy. Jestem zbyt aktywna, samodzielna i niezależna. Nigdy nie zgodziłabym się pozostawać na utrzymaniu męża.

Po godzinie rozmowy mąż Ewy Kuklińskiej wpadł do mieszkania, zamykając się w sąsiednim pokoju.

Nie przypuszczałem, że Holendrzy są tacy niekulturalni, bo nie podejrzewam, aby mężem kierowała jedynie zazdrość.

Niedawno Ewa Kuklińska pożegnała niesympatycznego, zaborczego Holendra. Powody są tylko jej znane. Zabrała się do pracy i na tegorocznym Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu pojawiła się w najnowszym wcieleniu – młodzieżowej piosenkarki dyskotekowej. Pomysł na samą siebie tuż przed czterdziestką nieco szokujący i trochę spóźniony, wszakże Tina Turner i Dusty Springfield są w świecie tylko dwie i jakoś wystarczają. Jak przyjmie młodzieżowa publiczność Ewę Kuklińską – czas pokaże.

Swego czasu, w Tomaszowie Mazowieckim i w Spale prowadziłem programy estradowe Ewy Kuklińskiej, podczas których objawiła się nie tylko jako profesjonalistka w przebieraniu swych licznych kreacji, ale także jako słodka hetera, kiedy to zrobiła mi awanturę, że mówiłem na scenie na tyle za krótko, aby wystarczyło jej czasu na zapięcie 38 haftek przy krynolinie. A wystarczyło, Droga Ewo, powiedzieć przed koncertem – ile jest haftek...

Redaguje
Bohdan Gadomski

Andy Warhol w Warszawie!

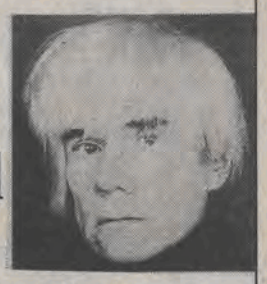

W Muzeum Narodowym w Warszawie można oglądać do 28 lipca retrospektywną wystawę 85 grafik **Andy Warhola** – najbardziej znanego przedstawiciela pop-artu. Prace te pochodzą ze zbiorów Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Nowym Jorku, a sponsorem wystawy jest **Fundacja Cartier.** Większość prac wykonana jest techniką seriografii, a obok tak znanych prac, jak: puszki zupy Campbella, podwójna Myszka Miki, Marylin, Liz, Mao czy czerwony Lenin, znajdują się trzy seriografie z 1975 r. przedstawiające **Micka Jaggera,** wokalistę grupy „The Rolling Stones".

Andy Warhol, określany mianem *„najsłynniejszego artysty amerykańskiego stulecia"*, szerokiej publiczności dał się poznać w początkach lat 60., łamiąc dotychczasowy podział na sztukę czystą i użytkową. Wywarł duży wpływ na współczesną plastykę, film i muzykę. W jego **„Fabryce" (Factory)** przy 47 Ulicy w nowojorskiej dzielnicy East Village spotykali się przedstawiciele filmu, muzyki, plastyki oraz businessu. To w „Fabryce" powstała słynna grupa **„The Velvet Underground",** a Warhol był jej spiritus movens. Przez „Fabrykę" przewinęli się również **John Lennon, Mick Jagger, David Bowie, Bob Dylan, Iggy Pop,** grupy **„New York Dolls"** oraz **„Blondie".** W ostatnim okresie swojego życia (zm. 22 II 1987) pomagał grupie **„Curiosity Killed the Cat",** znanej z występu na Festiwalu Sopot '90.

Był twórcą wielu okładek płytowych. Te najbardziej znane, to: żółty banan na płycie „The Velvet Underground and Nico" (1967), genialna okładka „Sticky Fingers" (1971) Rolling Stonesów z prawdziwym zamkiem błyskawicznym oraz okładka koncertowej płyty Stonesów „Love you live"(1977). Jego autorstwa jest również znak firmy „Rolling Stones Records", której logotypem stał się słynny język Micka Jaggera.

Andrzej Woszczyk

Narodziny kina w Łodzi (4)

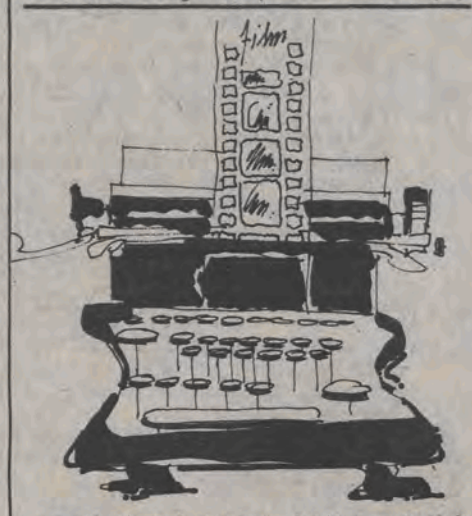

Paryski genre w Helenowie

Jak sięgnąć pamięcią Łódź i park Helenów rozwijały się razem, rosły i służyły sobie wzajemnie. Miasto ściągało coraz więcej ludzi szukających zarobku, ale i łaknących, chociażby w niedzielę świeżego powietrza. Park dawał więc wytchnienie i możliwość wypoczynku. Helenów (ul. Północna) założony został około połowy XIX wieku na terenie bagnistym, przez który przepływała rzeka Łódka. Przy końcu wieku został przeznaczony do użytku publicznego, oczywiście za opłatą wejściową w wysokości 20 bądź 30 kopiejek. Park przynosił właścicielowi niezły dochód. Zachwycano się nim: *„Jedynym miejscem wytchnienia dla mieszkańców zamożniejszych jest prywatny Helenów urządzony z dużym nakładem pracy i kapitału. Helenów zwany salonem letnim stanowi własność towarzystwa akcyjnego Anstadtów ...w Helenowie spotkać się można z grotami i wodospadem, tarasami – łódkami, placem do gier, zwierzyńcem, cukiernią, restauracją, teatrem i orkiestrą. Jak na park spacerowy, może za dużo wygód i filisterstwa, ale za drogo opłacone wejście łodzianin ma w zamian wszystko na miejscu – jest to typowy park burżua".*

Aby przyciągnąć jak najliczniejszą publiczność organizowano rozmaite atrakcje: zabawy ogrodowe, wyścigi, pokazy sztucznych ogni, dobroczynne kiermasze, loterie i kwiatowe corsa. Latem prezentowano „salon artystyczny" zwany letnią wystawą.

Nie należy się przeto dziwić, że w miejscu, w którym łodzianie oglądali różne dziwności pojawił się również i kinematograf. W niecały rok od uroczystych narodzin w Paryżu (28.12.1895 r.) kino zawitało do Łodzi, a ściślej mówiąc właśnie do Helenowa. 1.08.1896 r. w jednej z sal na parterze murowanego budynku mogli oglądać łodzianie filmy *„prezentowane za pomocą aparatu Edisona"*. Reklama w prasie szumnie zapowiadała *„sensacyjne widowisko teraźniejszości"*, opisywała szczegółowo filmy, zachęcała do obejrzenia wspaniałej nowości. To, co zobaczyli widzowie na ekranie, było czterema krótkimi scenkami, które z filmem w dzisiejszym rozumieniu słowa miały jedynie wspólny sposób utrwalania na taśmie.... Pierwszy pokazywał taniec mężczyzny z dwoma damami tak dokładnie, *„że każdy ruch, każdy ułamek ruchu sukni wygląda tak samo jak w naturze"*. W **„Pojedynku"** zwrócono uwagę na to, *„że klingi błyszczą, uderzenie jest odparowywane uderzeniem, każda faza jest dokładnie pokazana"*, w **„Ulicach i placach miasta"** zachwycano się *„ekipażami, omnibusami, roznosicielami reklam i publicznością poruszającą się"*. Przygoda z dzikimi zwierzętami wywoływała grozę i przestrach.

Do atrakcji kinematograficznych dodano na zakończenie każdego przedstawienia koncert Edisona odtwarzany z fonografu. Frekwencja na seansach była olbrzymia. Każdy chciał zobaczyć „na własne oczy" czy rzeczywiście autobusy jeżdżą, ludzie tańczą, a języki ognia niszczą domy. Ciekawość swą łodzianie zaspokajali ponad 3 miesiące zarówno na pokazach w Helenowie, jak i w innych miejscach w Łodzi.

Nie lada sensację przyżyła również Łódź w roku następnym (1897). Kiedy to do miasta przybył *„prawdziwy sinematograf braci Lumiere"*. Przedstawienia odbywały się oczywiście w Helenowie, tym razem w wielkiej sali koncertowej. Poprzedziła je piątkowa premiera 11.06. zorganizowana dla specjalnie zaproszonego towarzystwa min. również dziennikarzy. Kino wkraczało do Łodzi z dumnie podniesioną głową, pewne wrażenia, jakie wywoła samym swoim pojawieniem się. A wrażenie rzeczywiście było ogromne. Zupełnie „nowe' filmy, które już zdążyły objechać pół świata przyjmowali łodzianie entuzjastycznie i z wypiekami na twarzy. **„Przybycie pociągu na stację", „Scena na placu św. Marka w Wenecji", „Kąpiel Diany w Mediolanie", „Parada cesarska w Paryżu"** – przenosiły widzów w inny, nieznany dotąd świat. Fascynował ruch, ale w wypowiedziach pojawia się również zachwyt nad *„różnorodnością tematyki"*. Świat marzeń otwierał swoje podwoje dla licznych rzesz przyszłych kinomanów.

Każde przedstawienie trwało pół godziny i składało się z 8 filmików. Seans zaczynał się o godzinie 17. W ciągu 8-dniowego pobytu program zmieniano 3 razy. 20.06 kinematograf opuścił Helenów i Łódź. Pusto zrobiło się w Helenowie i to na przeciąg prawie dwóch lat. Dopiero w 1899 r. **„Żywe obrazy"** bo tak wówczas nazywano filmy, uwypuklając tym określeniem najistotniejszą – jak wówczas się wydawało – cechę kina: ruch. – zagościły ponownie w Helenowie. Tym razem łodzianie oglądali program prezentowany im za pomocą aparatu Royal – pewnej zmodyfikowanej formy aparatu projekcyjnego.

Sala w Helenowie wielokrotnie przyjmująca różne trupy artystyczne gościła w 1901 r. międzynarodowy teatr nowości „Variete" pod kierunkiem **Hoppe i Hohenau.** Do przedstawień dołączono seanse kinematograficzne, ale tylko na przeciąg 7 dni. Niestety nie podano programu, na którym bawiła się publiczność.

W porównaniu z entuzjastyczną premierą w 1896 r. i przyjęciem *„sinematografu Lumiere'a"* w roku następnym, te seanse filmowe wyglądały bardzo mizernie i nijako. Ale taka była atmosfera w Łodzi. Po pierwszych zachwytach emocje opadły, a projekcje były tylko okazjonalne i nie przekształciły się w zwyczaj codziennych seansów. To trwało w Łodzi do 1900 r., a w Helenowie do 1906 r. Gdy miasto powoli zaczęło wypełniać się kinami, przywędrowało ono znowu do swoich źródeł czyli do Helenowa. W salach pamiętających pierwsze projekcje zorganizowano stałe kino.

Charakter przedstawień w parku helenowskim uległ wyraźnej zmianie wraz z objęciem dyrekcji **przez Benedykta Zarzyckiego.** Ten energiczny kupiec rosyjski otworzył w 1908 r. najpierw **Teatr Elektro-Biograf** przy ul. Piotrkowskiej 86. Reklama w **„Rozwoju"** – najpopularniejszym piśmie łódzkim zachwycała się tym iluzjonem i informowała o następnych przedsięwzięciach: *„Przedsiębiorstwo... zyskuje sobie coraz większe poparcie publiczności łódzkiej. Prowadzone jest ono na wielką skalę i wyróżnia się od innych tego typu przedsiębiorstw znakomitym urządzeniem i doborem najnowszych i bardzo ciekawych pokazów. Wczoraj (21.06.1908 r.) pan Zarzycki otworzył Elektro-bioskop pod nazwą Theatre Moderne w wielkiej sali Grand Hotelu"*. Wraz z pojawieniem się nowego kina zaprzestano projekcji w lokalu przy ul. Piotrkowskiej 86. Latem filia Elektro-Biografu rozpoczęła swą działalność w Helenowie pod tą samą nazwą.

Kinematograf zasłynął z obrazów **„paryskiego genre'u".** Były to francuskie filmy o pikantnej treści lub jak oceniano je wówczas *„pornograficznym charakterze"*. Aby schlebić bardziej wymagającej publiczności przedstawienia odbywały się *„dla dorosłych mężczyzn albo kobiet oddzielnie"*. Obrazy „paryskiego genre'u" wyświetlano codziennie od 17 do 23. Gdy minęły miesiące letnie, zrezygnował Zarzycki z prowadzenia filii w Helenowie. Jego działalność jako właściciela kina skoncentrowała się na dwóch iluzjonach: Moderne w Grand Hotelu i ponownie uruchomionym Elektro- Biografie - Piotrkowska 86.

I znów na długi czas opuścił kinematograf gościnne progi Helenowa. Powracał rzadko, tylko przy okazji zabaw.

Dopiero w czerwcu 1913 r. powstaje ponownie iluzjon (tak wówczas często nazywano kino). Tym razem został założony na cyrkodromie, pod otwartym niebem, z inicjatywy akcjonariuszy Karola Anstadta. Samo położenie kinematografu przesądzało o jego czasowej działalności, głównie w miesiącach letnich. Ogromny ekran ustawiony był w ten sposób, że obrazy można było oglądać z obu stron. Na trybunach było około 600 miejsc. Dla większego bezpieczeństwa ppoż. budka z aparatem projekcyjnym mieściła się w odległości 100 łokci od pierwszego rzędu.

Z ponowną propozycją uruchomienia kina o stałym charakterze wystąpiono z końcem 1913 r. Na początku następnego otrzymano zezwolenie na otwarcie kina w istniejącym kamiennym budynku w parku. Należało teraz złożyć jedynie odpowiednie dokumenty obrazujące stan dokonanych przeróbek i przystosować pomieszczenie dla potrzeb iluzjonu. Wybuch I wojny przerwał te plany i jak się okazało, unicestwił je na zawsze.

Hanna Krajewska

Rys. B.A. Szust

Dokumenty

Propozycje Wolnych Demokratów

Ruch Wolnych Demokratów – partia polityczna od 30 listopada 1990 roku, kontynuator Związku Młodych Demokratów z 1956 roku, najstarszego po 1948 roku ugrupowania opozycji demokratycznej w Polsce, nie był dopuszczony (ani zaproszony) do udziału w obradach „Okrągłego stołu" w 1989 roku. Nie znaczy to, że Ruch Wolnych Demokratów przy „Okrągłym stole" nie był obecny chociaż opinia publiczna o tym nie wie lub wie niewiele. Obecność (korespondencyjną) Ruchu Wolnych Demokratów przy „Okrągłym stole" potwierdza dokument – pismo z 22 lutego 1989 r. – złożony na ręce prof. Bronisława Geremka – współprzewodniczącego Zespołu ds. reform politycznych „Okrągłego stołu" w 1989 roku.

Przesyłam w załączeniu kserokopię tego dokumentu z prośbą o jego opublikowanie.

Ruch Wolnych Demokratów już w lutym 1989 roku zabiegał o uniwersalną ordynację wyborczą do demokratycznie wybieranego parlamentu postulując dodanie, dla potrzeb wyłącznie wyborów w 1989 r., szczegółowych, jednorazowych klauzul dotyczących zgłaszania kandydatów czy podziału miejsc w Sejmie.

Okazuje się, że jeden z tych postulatów Ruchu Wolnych Demokratów, możliwy do wynegocjowania przy „Okrągłym stole" mógł zapobiec dzisiejszej, kompromitującej demokrację, wojnie wokół ordynacji wyborczej. Wojnie czasochłonnej, niezrozumiałej dla opinii publicznej i budzącej niezdrowe emocje.

Załącznik: jak w treści

Z wyrazami szacunku

Marek J. Tomczyński

Łódź, dnia 24 czerwca 1991 roku

Warszawa, 22 lutego 1989 r.

W. Pan
Prof. Bronisław Geremek
Współprzewodniczący Zespołu
ds. reform politycznych
„Okrągłego stołu"

Szanowny Panie Przewodniczący

I. Jako rzecznik Ruchu Wolnych Demokratów (RWD) pragnę wyrazić niepokój uczestników naszego Ruchu, że w pracach Zespołu ds. reform politycznych „Okrągłego stołu", a w szczególności w debacie na temat nowej ordynacji wyborczej do Sejmu PRL żadna ze stron nie powołuje się w enuncjacjach publicznych na elementarne zasady prawa i deklaracje polityczne, wiążące zarówno władze jak i społeczeństwo, z którymi nowa ustawa wyborcza nie powinna być sprzeczna.

Chodzi o:

1. Manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego (1944 r.) który deklarował uroczyście *„...przywrócenie wszystkich swobód demokratycznych, równości wszystkich obywateli bez różnicy rasy, wyznania i narodowości, wolności organizacji politycznych, zawodowych, prasy, sumienia"*. Deklarowano w nim również przeprowadzenie wyborów do Konstytuanty na podstawie pięcioprzymiotnikowego prawa wyborczego.

2. Deklarację Jałtańską w sprawie Polski (1945 r.), która zobowiązywała Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej do przeprowadzenia w Polsce *„wolnych i nieskrępowanych wyborów"* z udziałem *„wszystkich partii demokratycznych."*

3. Zasadę VIII, Aktu Końcowego KBWE podpisanego w Helsinkach 1 sierpnia 1975 r., głoszącą ideę samostanowienia narodu.

4. Międzynarodowy Pakt Praw Obywatelskich i Politycznych (MPPOiP) ratyfikowany przez Radę Państwa PRL i promulgowany 29 grudnia 1977 r., a przeto stanowiący normę prawa wewnętrznego w naszym kraju, które gwarantuje wszystkim obywatelom równość praw i możliwości, bez żadnej dyskryminacji (także ze względu na poglądy polityczne) do *„korzystania z czynnego i biernego prawa wyborczego"* (art. 2 i 25 MPPOiP).

Trzeba podkreślić, żę każda ze stron skupionych przy „Okrągłym stole" ma prawo, a działacze niezależni mają ponadto moralny obowiązek, do powoływania się na powyższe przepisy i do oceny w ich świetle propozycji zasad nowej ustawy wyborczej zgłaszanych podczas obrad. Stwierdzam z ubolewaniem, że działacze Ruchu Wolnych Demokratów, chociaż jako pierwsi wystąpili publicznie z propozycją rozmów przy „Okrągłym stole" bez warunków wstępnych, nie zasiadają przy nim, albowiem uznali, że gospodarz obrad poddał uczestników procedurze preselekcji ze względu na warunki wstępne przekreślające równoprawność stron przy „Okrągłym stole".

Wszelako, doceniając wagę i znaczenie rozmów, jak również wysiłek działaczy niezależnych, pro publico bono, przedkładam niektóre postulaty RWD w sprawie propozycji nowej ordynacji wyborczej, w nadziei, że już to zostaną one wzięte pod uwagę, już to zostaną one przedstawione podczas dyskusji w Zespole. W każdym razie interwencja rzecznika RWD powinna być rozumiana jako chęć przyjścia z pomocą działaczom niezależnym.

II. Należy podkreślić, że od kilkunastu lat działacze RWD domagają się publicznie od władz PRL dostosowania norm prawa wewnętrznego do MPPOiP, wskazując na odpowiednie zobowiązanie, jakie władze te przyjęły na siebie w art. 2, ust. 2 tego Paktu. Dotyczy to w szczególności zmian w prawie wyborczym. Na przykład, przed wyborami do Sejmu w marcu 1980 r., RWD był jedynym ugrupowaniem niezależnym, które nie zalecało bojkotu wyborów, owszem apelowało do:

1. Organów władzy państwowej, aby *„...zniosły na kartach do głosowania podział na miejsca tzw. mandatowe i niemandatowe i wprowadziły listy alfabetyczne kandydatów FJN, gwarantując choćby tej grupie obywateli PRL polityczną równość wobec prawa"*,

2. Komitetów FJN o dopuszczenie do składu Komisji Wyborczych przedstawicieli niezależnych ośrodków opinii publicznej jako mężów zaufania.

Apel powyższy opublikowano w kwartalniku ASPEKT (nr 2-3/1979 r.) i należy stwierdzić, że w stosunku do obowiązującej ordynacji wyborczej do Sejmu obydwa postulaty są niestety nadal aktualne.

III. Zwracam uwagę Pana Przewodniczącego na oświadczenie ministra Tadeusza Olechowskiego, złożone w imieniu rządu PRL podczas przemówienia na zakończenie konferencji przeglądowej KBWE w Wiedniu 18 stycznia 1989 r. Mówca wyraził zadowolenie rządu polskiego z faktu, że *„... w dokumencie końcowym znalazła odzwierciedlenie myśl o konieczności zapewnienia zgodności ustawodawstwa wewnętrznego z normami i zasadami KBWE oraz prawa międzynarodowego"*. Jeżeli tak jest w rzeczywistości, to strona rządowa zasiadająca przy „Okrągłym stole" powinna oświadczyć, że z radością będzie dążyć do dostosowania nowej ordynacji wyborczej do przepisów MPPOiP.

W świetle tej zasady generalnej należy ocenić propozycje zasad nowej ordynacji wyborczej złożone przez p. Kazimierza Cypryniaka i doc. Stanisława Gebethnera podczas posiedzenia Zespołu 18 stycznia 1989 r.

1. Propozycja działacza partii komunistycznej zmierza do preselekcji organizacji politycznych i społecznych (również tych niezależnych) uprawnionych do zgłaszania kandydatów, co narusza wolności innych organizacji politycznych deklarowane w Manifeście PKWN. Przyznanie tego prawa grupom obywateli liczącym co najmniej 5.000 osób jest wyraźnie sprzeczne z precedensem prawnym stworzonym w ordynacji używanej podczas wyborów w 1947 r. Wówczas, prawo do zgłaszania okręgowej listy wyborczej przysługiwało grupie obywateli liczącej 100 osób. Chodzi zatem o ograniczenie w różny sposób równości praw w zakresie biernego prawa wyborczego.

2. To samo dotyczy zgłaszania kandydatów na listę krajową. Byłaby ona do przyjęcia pod warunkiem wyposażenia w to prawo niezależnych organizacji, wystawiających kandydatów w kilku okręgach wyborczych oraz grup obywateli liczących np. od 5.000 do 10.000 osób. Jest to podyktowane zasadą równości.

3. W ogóle jest nie do przyjęcia lista krajowa złożona z tylu nazwisk, ile jest mandatów do obsadzenia. Byłaby to lista złożona wyłącznie z miejsc mandatowych.

4. Obydwie propozycje optują na rzecz okręgów wielomandatowych, co jest zgodne z wielowiekową tradycją polskiego prawa wyborczego. Należałoby przyjąć zasadę, że im mniej mandatów w okręgu, tym lepiej.

5. Zaproponowaną zasadę nie ograniczonej ilości kandydatów zgłoszonych do każdego mandatu należałoby połączyć z zasadą, że można kandydować w więcej niż jednym okręgu, a w każdym razie z zasadą, że można kandydować z listy okręgowej i krajowej.

6. Co do sposobu głosowania, to należałoby optować na rzecz dwóch tur głosowania chociażby z tego względu, że przed drugą turą zostałby uruchomiony mechanizm porozumień politycznych, dotychczas zupełnie nie praktykowany w Polsce. Dwaj kandydaci, pozostający w szrankach wyborczych, dopiero w tej fazie wyborów mieliby realne szanse przedstawienia siebie i swoich programów w środkach masowego przekazu.

7. Koncepcja doc. Stanisława Gebethnera wyborów „konkurencyjnych, ale niekonfrontacyjnych" jest zasadniczo sprzeczna z zasadą równości w zakresie biernego prawa wyborczego. Jest ona wszelako zbieżna z propozycjami Ruchu Wolnych Demokratów składanymi przed wyborami do Sejmu w marcu 1989 r. Jest ona lepsza od propozycji p. Kazimierza Cypryniaka ze względu na rezygnację z postulatu wprowadzenia listy krajowej.

Reasumując, uważam że kluczową sprawą, możliwą do uzyskania, jest deklaracja strony rządowej, że nowa ordynacja wyborcza nie będzie sprzeczna z obowiązującymi tę stronę wcześniejszymi deklaracjami i uznanymi normami prawa międzynarodowego. Wiąże się z tym generalna uwaga merytoryczna, żeby projekt nowej ordynacji wyborczej był opracowany w taki sposób, jakby miał służyć podczas wyborów w 1993 r., z dodaniem szczegółowych klauzul odnoszących się wyłącznie do wyborów z 1989 r. Chodzi tu w szczególności o klauzule zgłaszania kandydatów.

IV. Wraz z niniejszym przedłożeniem przedstawiam Panu Przewodniczącemu broszurę wrocławskiego środowiska Ruchu Wolnych Demokratów zatytułowaną: „O równopartnerstwo polskich sił politycznych – Dialog przy „okrągłym stole", jak również kopię mojego artykułu pt. „Geneza „Okrągłego stołu" (Tydzień Polski – 12 listopada 1988 r.) Mam nadzieję, że Pan Przewodniczący podzieli mój pogląd, że leży w interesie działaczy niezależnych, nie tylko tych skupionych przy „Okrągłym stole" podkreślanie, że to wydarzenie polityczne tak popularne obecnie w Polsce i w Europie zostało zainspirowane przez środowisko niezależne. Sądzę, że miałoby to nie tylko niekwestionowane znaczenie polityczne i propagandowe dla nas wszystkich, ale przede wszystkim – moralne, albowiem polegałoby na dawaniu świadectwa prawdzie.

Łączę wyrazy szacunku

Adam F. Wojciechowski

(Rzecznik Ruchu Wolnych Demokratów)

Nie tylko dawna Łódź

Województwo

Województwo łódzkie jako jednostka podziału administracyjnego kraju zostało powołane ustawą z 2 sierpnia 1919 r. Obejmowało terytorium o powierzchni 19 034 km2, podzielone na 13 powiatów: brzeziński, kaliski, kolski, koniński, łaski, łęczycki, łódzki, piotrkowski, radomszczański, sieradzki, słupecki, turecki i wieluński. Siedzibą władz została Łódź, wbrew aspiracjom Piotrkowa, do niedawna stolicy guberni.

Biura województwa znalazły tymczasowe lokum przy ul. Ewangelickiej 17 (Roosevelta) do czasu adaptacji hotelu „Bristol" przy ul. Zawadzkiej (Próchnika). Pierwszym wojewodą łódzkim został **Antoni Kamieński** (1878-1924), mianowany dekretem Naczelnika Państwa z 19 listopada 1919 r. Zastępował wojewodę w czasie jego nieobecności dr **Paweł Garapich,** równocześnie naczelnik wydziału prezydialnego. Wojewoda był przedstawicielem władz centralnych, sprawującym z upoważnienia rządu władzę państwową na terenie województwa i odpowiedzialnym wobec Warszawy za zarząd województwa. Organem opiniodawczym wojewody była rada wojewódzka, złożona z przedstawicieli sejmików powiatowych, rad miejskich i poszczególnych działów administracji, zarówno podległych wojewodzie, jak i wyłączonych spod jego zwierzchnictwa.

Pod koniec 1937 r. zaczęto mówić o przewidywanych zmianach terytorialnych kraju w związku z dalekosiężnym planem utworzenia Centralnego Okręgu Przemysłowego z Sandomierzem jako jego główną metropolią. Planowano w związku z tym przyłączyć zachodnie powiaty woj. łódzkiego do poznańskiego z równoczesnym przejęciem przez wojewodę łódzkiego powiatów: częstochowskiego, koneckiego, włoszczowskiego, zawierciańskiego, opoczyńskiego i rawskiego. Koncepcja ta spotkała się ze sprzeciwem zainteresowanych samorządów lokalnych, wyrażonym najdobitniej przez prezydenta Częstochowy w raporcie, w którym został zgłoszony formalny protest przeciwko przyłączeniu Częstochowy wraz z powiatem do woj. łódzkiego.

W rezultacie 1 kwietnia 1938 r. do woj. poznańskiego dołączono powiaty: kaliski, kolski, koniński i turecki, przez co wzmocnił się potencjał gospodaczy Wielkopolski. Powiaty te (z wyjątkiem tureckiego) były bogate, posiadały dobrą ziemię, zamożne rolnictwo i sprawne samorządy powiatowe. 1 kwietnia 1939 r. teren woj. łódzkiego zwiększył się o wydzielone z woj. warszawskiego powiaty: kutnowski, łowicki, rawski i skierniewicki oraz z woj. kieleckiego: konecki i opoczyński. Obszar województwa wzrósł do 20 446 km². Powiaty łowicki i kutnowski były bogate i dobrze zagospodarowane, słabsze gospodarczo okazały się powiaty rawski i skierniewicki, niską wartość ekonomiczną miały powiaty konecki i opoczyński z terenami piaszczystymi, drobną własnością ziemską i karłowatymi gospodarstwami. Wojewoda łódzki **A. Hauke-Nowak** w przemówieniu wygłoszonym z okazji pożegnania zachodnich powiatów powiedział:

– *„Niezależnie od motywów, jakie wpłynęły na decyzję o wydzieleniu wymienionych terenów administracyjnych ze składu województwa łódzkiego i włączeniu ich do obszaru województwa poznańskiego, należy stwierdzić, iż fakt ten będzie przede wszystkim dalszym zatarciem śladów granic zaborczych, które dzieliły przez przeszło sto lat naród polski, zamieszkujący od wieków te prastare ziemie polskie"*.

Po wojnie obszar województwa zmniejszył się do 16 798 km², uległ jednak z czasem powiększeniu do 17 065 km². Początkowo w skład woj. łódzkiego wchodziło 14 powiatów: brzeziński, konecki, kutnowski, łaski, łęczycki, łowicki, łódzki, opoczyński, piotrkowski, radomszczański, rawski, sieradzki, skierniewicki i wieluński. Później wyłączono z województwa powiaty konecki i opoczyński, włączono zaś: bełchatowski, pajęczański, poddębicki i wieruszowski.

Ustawą z 11 września 1944 r. **miasto Łódź** zostało wyodrębione z woj. łódzkiego, stając się samodzielną jednostką administracyjną o charakterze wojewódzkim, zaś minister administracji publicznej pismem z 17 kwietnia 1945 r. upoważnił prezydenta m. Łodzi do wykonywania na terenie miasta funkcji wojewody grodzkiego.

Po reformie administracyjnej kraju 1 lipca 1975 r. województwo łódzkie zostało zmniejszone do 1523 km², zajętych przez Łódź i jej najbliższe okolice. Z największego województwa II Rzeczypospolitej stało się województwem najmniejszym, co wywarło niewątpliwie ujemny wpływ na jego rozwój.

Andrzej Kempa

Z dalekiej przeszłości

Motto: *„Nie łudźmy się, że ktokolwiek za granicą będzie szanował naszego prezydenta, jeśli my sami nie będziemy go szanować. Chyba że wybierzemy króla, któremu zapewnimy przymusowy szacunek. Tylko jaką dynastię odnowić?"*.

(Mariusz Janicki, „Polityka")

Kiedy Walens był cesarzem?

W Istambule zachowały się do dziś resztki akweduktów Walensa. To nie żart, był taki cesarz, który panował w IV wieku naszej ery we wschodniej części cesarstwa rzymskiego.

W 12 tomie Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN, wydanym w 1969 roku, można znaleźć hasło „Walens". Przestraszyli się tego imienia, nie wiadomo czemu, edytorzy czterotomowego wydania Encyklopedii Powszechnej PWN z 1987 roku. Może im się skojarzyło?

Walens pojawił się na arenie historycznej w czasach nieszczególnych, w momencie rozpadu państwa, na czele którego stał jego przyrodni brat, Walentynian I. Sodoma i Gomora działy się w Rzymie. Nadużycia urzędników osiągnęły niewidziany poziom, kwitło łapownictwo, chyliło się ku upadkowi rolnictwo, wieśniacy porzucali ziemię, żołnierze dezerterowali, a ludność miejska uciekała „do barbarzyńców" czyli poza granice cesarstwa. Nasilała się przestępczość. Niezdolnych do płacenia podatków biczowano, a potem wysyłano na śmierć. Rozpoczęły się waśnie religijne. Podczas wyborów biskupów dochodziło do gorszących scen, a nawet krwawych starć o intratne, przynoszące ogromne dochody i władzę duchowne stanowiska.

A tu jeszcze germańskie plemiona zaczęły zagrażać krajowi. Burzyli się niewolnicy. Więc Walentynian I wezwał swego brata Walensa i powiedział do niego: – *„Zrób z tym porządek!"*. W 364 roku mianował go władcą wschodniej części cesarstwa.

Walens panował na wschodzie 14 lat. Zaprowadził najpierw ład w kościele. Poparł arian przeciwko wyznawcom prawosławia. Otworzył granicę dla Wizygotów, wrednego germańskiego plemienia, które brzydko mu się zrewanżowało, wzniecając antywalensowskie powstanie. W bitwie pod Adrianopolem cesarz Walens został przez starożytnych szkopów pokonany. I zginął.

Tyle z podręczników historii. Brak w nich informacji, czy miał synów. Pierwszej dynastii Walensów nikt nie próbował odnowić. A była.

* * *

Na II Zjeździe „Solidarności" w 1990 roku przed halą „Olivii" w Gdańsku sprzedawano magazyn „Pogląd" z karykaturą Lecha Walensy na okładce – w królewskiej koronie. Pochlebców i doradców w tym kraju nigdy nie brakowało.

Ryszard Badowski

Hipotezy, przypuszczenia, domysły

Czy to była wielka mistyfikacja?

22 czerwca 1991 roku minęła 50 rocznica napaści Niemiec na ZSRR. Od dawna szereg sprzecznych informacji powoduje, że niepowodzenia armii ZSRR w pierwszych dniach po agresji niemieckiej stanowią wielką zagadkę, którą tłumaczy się na szereg sposobów. Mam na ten temat swoje zdanie. Uważam, że Józef Stalin po prostu chciał przegrać bitwę graniczną.

Zanim odpowiemy na podstawowe pytanie po co? – rozpatrzmy pierwsze wątpliwości, które spowodowały powstanie takiej hipotezy. Zaczniemy przeto nieco od środka.

Otóż w moim najgłębszym przekonaniu inżyniera mechanika jest rzeczą zupełnie niemożliwą ta skuteczna przeprowadzka fabryk zbrojeniowych, na którą się wszyscy powołują. W wersji, którą nam serwowano, ZSRR był całkowicie nie przygotowany do odparcia agresji i dopiero przeniesione za Ural fabryki zbrojeniowe zaczęły wypuszczać nieprawdopodobne ilości czołgów, armat i samolotów, przy pomocy których zatrzymano, a potem pokonano Niemców. Jest kilka aspektów tej sprawy.

Jeżeli obiekty przemysłowe, które podlegały przenosinom, przed wojną niemiecko-radziecką nie produkowały dostatecznej ilości broni, to po przenosinach ich potencjał produkcyjny nie mógł nagle wzrosnąć, aby sprostać potrzebom wojny. Mógł jedynie spaść w związku z dwoma powodami: trudnościami transportu i trudnościami zagospodarowania na nowym miejscu.

Trudności transportowe były olbrzymie. Przez Ural wiodą dziś w zasadzie jedynie trzy linie kolejowe. Na pewno w 1941 r. nie było ich więcej. Transporty były bombardowane i z całą pewnością nie wszystkie docierały do celu. Ponieważ cykl produkcyjny jest łańcuchem przyczynowo-skutkowym, więc strata nawet jednego wagonu ze sprzętem mogła uniemożliwić rozruch fabryki.

Zagospodarowanie. Co to właściwie znaczy? Czy fabryki powstawały od fundamentów, czy przenoszone były do uzbrojonych już hal? I jak uzbrojonych? Do budowy czołgów konieczne jest odpowiednie pole i odpowiedni transport wewnętrzny oraz: siła, woda i ciepło. Jeżeli zaczynano od zera, to cykl inwestycyjny, 18-miesięczny, jest absolutnym rekordem w tym względzie. Jeżeli przenoszono fabyki do istniejących hal fabrycznych, to oczywiście w dwa miesiące po przeprowadzce można uruchomić produkcję.

Czy przedwojenny potencjał zbrojeniowy ZSRR był duży, czy mały? Wiele wskazuje na to, że był ogromny.

Pierwsze źródło to gen. Heinz Guderian. W swojej książce, Achtung Panzer wydanej w 1937 r. podał on, że ZSRR posiada 17.000 czołgów. Cenzura mu to zakwestionowała i ostatecznie zgodziła się na 10.000, Gieorgij Żukow w swoich „Wspomnieniach i refleksjach" przytacza również niebagatelne liczby. Otóż pisze on, że od stycznia 1939 r. do czerwca 1941 r. przemysł przekazał armii ok. 7.000 czołgów, w tym do wybuchu wojny wyprodukowano 1861 nowoczesnych czołgów T-34 i KW. Między danymi Heinza Guderiana i Gieorgija Żukowa jest luka od 1937 r. do 1939, w których to latach produkcja przecież nie stanęła. Spokojnie więc – przyjmując opublikowane przez Heinza Guderiana 10.000 (a nie 17) można powiedzieć, że ZSRR dysponował w chwili niemieckiej agresji 20.000 czołgów. W tym czasie Niemcy posiadali ok. 4.000 czołgów. Gdzie były te wozy bojowe, które dobrze użyte mogły całkowicie odwrócić sytuację już w pierwszych godzinach wojny?

Wiadomo, że takiej masy żelaza Armia Czerwona w swoich nadgranicznych okręgach na pewno nie posiadała. Wprost przeciwnie, większość relacji uczestników wspomina o całkowitym braku broni pancernej po stronie sowieckiej. Otóż w moim najgłębszym przekonaniu było tylko jedno dobre miejsce – za Uralem! Jeżeli rzeczywiście tam stały i czekały na swoją kolej, to nie trzeba było żadnej przeprowadzki – było z czego czerpać. W tym świetle cała wielka baśń o skutecznej przeprowadzce przemysłu była potrzebna do wytłumaczenia, dlaczego tych czołgów nie użyto wcześniej. Zresztą całe przenosiny na pewno się odbyły, z tym że dowiezione maszyny zasiliły w większości przypadków już istniejące zakłady. Jeśli Gieorgij Żukow twierdzi, że potencjał produkcyjny w 1941 r. dawał możliwość produkcji rocznej 5.500 czołgów, to z całą pewnością nie był cały rozmieszczony na zachodniej, zagrożonej flance państwa sowieckiego.

Ta pierwsza przesłanka wynikająca z inżynierskiej wiedzy, co można, a czego nie można zrobić, poprowadziła mnie do poszukiwania dalszych argumentów za tym, że Józef Stalin chciał przegrać bitwę graniczną.

Ogólnie podaje się, że bezgranicznie wierzył Adolfowi Hitlerowi i do końca nie dopuszczał żadnych innych rozwiązań. Inni znowu piszą, że nie wierzył nikomu – i to wydaje mi się bardziej prawdopodobne. Wiadomo ogólnie, że napływ informacji o przygotowaniach wojennych Niemiec był ogromny. Nie będę tu wyłuszczał, kto i kiedy informował, bowiem zabrałoby to zbyt wiele miejsca. Tymczasem reakcje były wręcz dziwne.

Na kilka tygodni przed agresją wrócił z Finlandii specjalny wysłannik, który jako dyplomata miał sprawdzić fakt dotarcia do tego kraju niemieckich oddziałów. Oznajmił, że są – i został osadzony w więzieniu. Na kilka godzin przed wojną Józef Stalin odwołuje stan pogotowia w niektórych okręgach przygranicznych, gdzie dowódcy ogłosili go samorzutnie. Nie przebazowano nawet samolotów, które w ogromnej liczbie zostały zbombardowane na dawno rozpoznanych lotniskach.

Dalsza opowieść o Józefie Stalinie głosi, że po wybuchu wojny załamał się i nie wydawał rozkazów. Przeczą temu pamiętniki Gieorgija Żukowa. Wydawał i to jakie. Przede wszystkim nie przyjął naczelnego dowództwa zostawiając je Siemionowi Timoszence, który i tak nie mógł bez niego zrobić kroku. Potem (22 czerwca 1941 roku ok. godziny 13) wysyła szefa sztabu Żukowa i innych marszałków i generałów do dowódców frontów chyba tylko po to, aby tam przeszkadzali, a nie organizowali działań z pozycji Sztabu Generalnego. Jeszcze tego samego dnia wieczorem wydaje rozkaz do ogólnego przeciwnatarcia, ale każe się pod nim podpisać Gieorgijowi Żukowowi, którego znajduje w Kijowie. Taki rozkaz w sytuacji braku łączności pomiędzy jednostakmi, po wcześniejszym odwołaniu pogotowia jest dla armii zgromadzonych w przyfrontowych rejonach zabójczy. Rozkaz o przeprowadzce fabryk za Ural został wydany już 24 czerwca 1941 roku, czyli w trzecim dniu wojny. Dwa dni niepowodzeń na froncie nie upoważniają do takiego polecenia. Może go spowodować albo panika, albo głęboki zamysł.

Ostatnio lansowana jest inna teza (m.in. przez Wiktora Suworowa, tego od GRU) mianowicie, że ZSRR był niemal gotowy do uderzenia na Niemcy, a jedynie został wyprzedzony o kilka tygodni. Wiktor Suworow jako agumenty podaje zniszczenie umocnień przygranicznych, które jakoby miały przeszkadzać przemieszczeniom wojsk idących do natarcia i budowę dróg w relacji wschód – zachód, a nie północ – południe. Otóż dla mnie to nie są argumenty. Żadne umocnienia w XX wieku nie były budowane w ten sposób, aby własne wojska nie mogły przez nie przeniknąć, natomiast makiawelicznie traktując Józefa Stalina należy przypomnieć, że droga wschód – zachód jest tak samo dobrze drogą zachód – wschód.

Pozostaje jedynie w tej hipotezie postawić sobie pytanie, po co ta koncepcja przegranej? Odpowiedź nie jest najłatwiejsza. Powiedziałbym, że podczas gdy wszystkie przesłanki, a wreszcie ostateczny skutek, wskazują na taki właśnie zamysł Józefa Stalina, pytanie – qui bono – nasuwa najwięcej wątpliwości. Najbardziej nasuwa mi się następujące wyjaśnienie: od lat przy pomocy aparatu NKWD mordowane były miliony ludzi, też warto by zapytać, po co? – bo można obie sprawy sprowadzić do wspólnego mianownika. Jeśli na przykład Józef Stalin – ten geniusz zła – doszedł już wcześniej do przekonania, że społeczeństwo nie dorosło do idei i dlatego należy stworzyć zupełnie nowe społeczeństwo. Takie społeczeństwo janczarów może powstać tylko poprzez użycie metody stosowanej w hodowli: mężczyźni do unasienienia, kobiety rodzą, a dzieci wychowują się kolektywnie w domach dziecka. Kiedy zrozumiał, że własnymi siłami nie zgładzi niepotrzebnej nadwyżki mężczyzn, to mógł się posłużyć w tym celu niemiecką armią i SS.

Za całą moją koncepcją przemawia jeszcze jedno. Otóż Józef Stalin w chwili największego zagrożenia nie miał zamiaru opuszczać Moskwy. Jeśli ja mam rację, to on jeden naprawdę wiedział, że armia nie goni resztkami sił, ale gdzieś za Uralem czekają nieprzebrane ilości sprzętu i broni całkowicie wystarczające do odparcia grzęznącego już niemieckiego ataku. W takiej sytuacji można zachować zimną krew i głęboki spokój.

Andrzej Wilczkowski

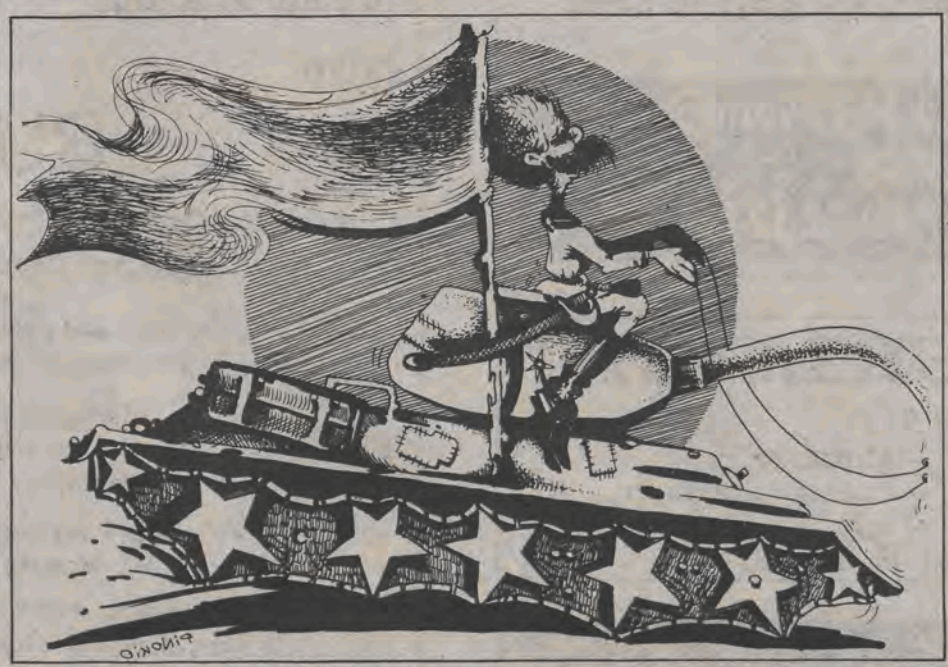

Jaki był powód sfałszowania daty urodzenia?

Kiedy urodził się Józef Stalin?

W ostatnich latach, kiedy o Józefie Stalinie i stalinizmie można u nas mówić i pisać bez ograniczeń, życiorys Józefa Wissarionowicza poddany był bardzo szczegółowym analizom. Historyków i publicystów interesowała nie tylko jego kariera polityczna, ale też (a niekiedy głównie) rozmaite wywody i ciekawostki o życiu osobistym, rodzinnym, o psychice, ambicjach, upodobaniach, słabościach. Na wzrost zainteresowania Stalinem wpływało i to, że doszukiwano się w jego biografii sensacji. Był okres, że dyskutowano np. o jego domniemanych ojcach. Jednym z nich miał być generał major Nikołaj Przewalski (1839-1888), zrusyfikowany Polak, podróżnik. Wymieniano gruzińskiego kniazia, u którego matka Stalina, Jekatierina Geładze (1856-1937), była praczką, a także wysoko postawionego dostojnika hierarchii kościelnej.

Okazuje się, że można zakwestionować także datę urodzin Stalina. Wprawdzie Isaac Deutscher, Roj Miedwiediew czy Miloš Mikeln zgodnie podają, iż Josif Wissarionowicz Dżugaszwili przyszedł na świat w Gori (gubernia tyfliska, Gruzja) 21 grudnia (a 9 grudnia według starego stylu) 1879 r. Tę datę znaleźć można w encyklopediach, informatorach i licznych biografiach Józefa Stalina. Ona też wyznaczała kolejne jubileusze, obchodzone z dużym rozgłosem i rozmachem.

Na 60-lecie urodzin Józef Stalin doczekał się wydania oficjalnej biografii. Jej rosyjska wersja (88 stron) ukazała się w 1939 r. Nie może ulegać wątpliwości, że zainteresowany zaakceptował treść tej książeczki. Drugie jej wydanie – przygotowywane na 70-lecie urodzin tytułowego bohatera – opracowali: J. Aleksandrow, M. Gałaktionow, W. Krużkow, M. Mitin, W. Moczałow i P. Pospiełow. Pierwsze egzemplarze tej bardzo znacznie rozszerzonej wersji życiorysu Józefa Stalina (244 strony) opuściły moskiewskie drukarnie już w 1947 roku. Ogółem w języku rosyjskim przygotowano aż 13 milionów egzemplarzy.

W archiwum KC KPZR zachowała się makieta drugiego wydania z naniesionymi własnoręcznie przez Stalina poprawkami i uzupełnieniami. Wspominam o tym przede wszystkim dlatego, że właśnie w obu wydaniach tej biografii już pierwsze zdanie tekstu przynosi informacje, iż Józef Wissarionowicz urodził się 21 grudnia 1879 roku.

Można było oczekiwać, że ewentualne nieścisłości co do tej daty zostaną sprostowane po śmierci Józefa Stalina, zwłaszcza zaś po XX Zjeździe KPZR (14-25 lutego 1956 r.). Wtedy to bowiem, na fali rozprawy z kultem jednostki, ujawniano wiele tragicznych prawd z życia i działalności wodza partii i narodów ZSRR. Ale daty urodzin Stalina nie skorygowano. Odnotujmy więc, że 21 grudnia 1979 r. moskiewska „Prawda" zamieściła artykuł redakcyjny, poświęcony 100-leciu jego urodzin.

Na jakiej więc podstawie można dziś zakwestionować prawdziwość tej daty? Okazuje się, że można i to w sposób nie budzący wątpliwości. Dociekliwi badacze radzieccy dotarli do miejsca urodzin Stalina i tam zajrzeli do księgi metrykalnej uspienskiej cerkwi katedralnej w Gori. I cóż się okazało? Znaleźli zapis, że 6 grudnia (starego stylu) 1878 r. mieszkańcom miasta Gori – prawosławnym chłopom: Wissarionowi Iwanowiczowi i jego prawowitej żonie, Jekatierinie Gawriłownie Dżugaszwili, urodził się syn Josif. Chrzest tego dziecka odbył sią w tejże cerkwi 17 grudnia (starego stylu) 1878 r. Do księgi metrykalnej wpisano w związku z tym także informacje o chrzestnych i o duchownym, który udzielił sakramentu chrztu.

Tak więc Józef Stalin okazuje się być w rzeczywistości starszy o 1 rok i 3 dni niż dotychczas powszechnie sądzono.

Dlaczego i kiedy zdecydował się sfałszować datę swoich urodzin? Częściowej i pośredniej odpowiedzi na to mogą udzielić dokumenty archiwalne. Są wśród nich zarówno takie, które potwierdzają zapis w księdze metrykalnej, ale i takie, na których widnieje rok 1879. Najstarszym jest świadectwo, które młody Józef Wissarionowicz otrzymał w czerwcu 1894 r., kończąc naukę w szkole cerkiewnej w Gori. W dokumencie tym stwierdza się m.in., że urodził się on *„w szóstym dniu miesiąca grudnia tysiąc osiemset siedemdziesiątego ósmego roku"* oraz że rozpoczął tu naukę we wrześniu 1890 r.

Tę wcześniejszą datę urodzin potwierdzają również niektóre (a właściwie większość) archiwalia departamentu policji carskiej. Te dokumenty, które dotyczą Józefa Stalina, są aktualnie przechowywane w Centralnym Archiwum Partyjnym KPZR. Jako zawodowy rewolucjonista był on pod skrupulatną obserwacją policji. Informacje z prowadzonej inwigilacji złożyły się na obszerne dossier. Przegląd tych źródeł wykazuje, że w sprawie daty urodzin Stalina są tam jednak rozbieżności.

Jak wiadomo, w pierwszych latach swej działalności rewolucyjnej był on funkcjonariuszem rosyjskiej partii socjaldemokratycznej na Zakaukaziu. W drugiej połowie 1911 r. rozpoczął się petersburski okres jego nielegalnej pracy partyjnej. Z tego właśnie czasu (4 października 1911 r.) pochodzi m.in. informacja Sankt-Petersburskiego Gubernialnego Urzędu Żandarmerii o podejrzanym o nieprawomyślną działalność polityczną Józefie Stalinie. Dokument ten podaje datę jego urodzin na 6 grudnia (starego stylu) 1878 r.

Z kolei w archiwaliach Bakijskiego Urzędu Żandarmerii wydarzenie to (urodziny) datowane jest na 1880 r. Nie brak i dokumentów, gdzie policjanci odnotowali narodziny Stalina w 1879 r., a nawet w 1881 r. Można przypuszczać, że podawał je podczas przesłuchań sam zainteresowany bądź że taka data wpisana była w jego dokumentach osobistych. Jednakże większość odnośnych materiałów departamentu policji potwierdza tę prawdziwą datę urodzin, odnotowaną we wspomnianej księdze metrykalnej.

Zachowały się też dokumenty wypełnione własnoręcznie przez Stalina. Należy do nich m.in. ankieta z grudnia 1920 r., w której odpowiedział na pytania sztokholmskiej gazety szwedzkich socjaldemokratów „Folkets Dagblad Politiken". W rubryce: data urodzin napisał rok 1878. W oparciu o zawartość tej ankiety powstał niewielki artykuł biograficzny o Stalinie, opublikowany wraz ze zdjęciem (wtedy już sekretarza generalnego KC Rosyjskiej Komunistycznej Partii Bolszewików) w tejże gazecie (nr 186) 14 sierpnia 1922 r.

Zachowało się też wiele ankiet, wypełnianych rutynowo przez wszystkich uczestników zjazdów i konferencji partii bolszewickiej. Pozycja Stalina w tej partii sprawiła, że jego dane personalne wpisywali do ankiet (oczywiście, w uzgodnieniu z nim) przeważnie rejestratorzy lub pomocnicy. Niekiedy widnieją na nich faksymile podpisu Stalina.

Dokładne przejrzenie tych ankiet pozwoliło zauważyć, że już w 1921 r. Józef Stalin oficjalnie się odmłodził, gdyż podał jako datę urodzin rok 1879.

Historycy radzieccy odnaleźli w Centralnym Archiwum Partyjnym KPZR także i inny ciekawy dokument, w którym wspomina się o dacie urodzin Józefa Wissarionowicza. Oto pełnomocnik Stalina w jego sekretariacie, Iwan Towstucha (1889-1935), skierował w grudniu 1922 r. biograficzną informację o sekretarzu generalnym KC RKP(b) do Pantielejmona Lepieszyńskiego (1868-1944), współorganizatora Komisji ds. Gromadzenia i Opracowania Materiałów z Historii Rewolucji Październikowej i Historii Partii Komunistycznej, W informacji tej widnieje rok 1879 jako rok urodzin Stalina. Co ciekawe, Towstucha zaopatrzył przesłany dokument w takie oto wyjaśnienie: *„Załączone informacje biograficzne były osobiście przejrzane przez tow. Stalina i przez niego poprawione."* Tak rzeczywiście było. Dociekliwym szperaczom udało się bowiem odnaleźć w Centralnym Archiwum Partyjnym KPZR brudnopis owej informacji biograficznej z poprawkami Stalina.

W okresie późniejszym I. Towstucha napisał krótką biografię Stalina dla słownika encyklopedycznego GRANAT. Urodziny swego bohatera datował w niej na 1879 rok.

Jest charakterystyczne, że od połowy lat dwudziestych oficjalną datą urodzin ówczesnego przywódcy partii radzieckich komunistów stał się we wszystkich informacjach i dokumentach biograficznych oraz w encyklopediach i informatorach rok 1879.

Pozostaje pytanie, czy Józef Stalin zgodził się na to fałszerstwo świadomie i ewentualnie, dlaczego to uczynił? Wiarygodnych dokumentów do wyjaśnienia tej zagadkowej zmiany daty urodzin na razie brak. Trudno też o przekonywające spekulacje. Być może jest tu jednak jakiś związek z okresem pobytu w Gori domniemanych ojców Józefa Wissarionowicza. Czy i kiedy dowiemy się o tym całej prawdy? – nie wiadomo.

Albin Głowacki

UWAGA KIEROWNICY I WŁAŚCICIELE SKLEPÓW Z ARTYKUŁAMI ELEKTRYCZNYMI

W naszym magazynie posiadamy:

- żarówki E-27, samochodowe, świecówki
- świetlówki, lampy sodowe, rtęciowe
- druty nawojowe, przewody instalacyjne, teletechniczne, antenowe, samochodowe
- osprzęt siłowy i sterowniczy, wyłączniki aparaturowe
- tablice licznikowe, rozdzielcze i osprzęt
- oprawy mieszkaniowe, żyrandole, kinkiety, lampki biurkowe
- oprawy świetlówkowe, sodowe, rtęciowe, przemysłowe
- stateczniki, zapłonniki

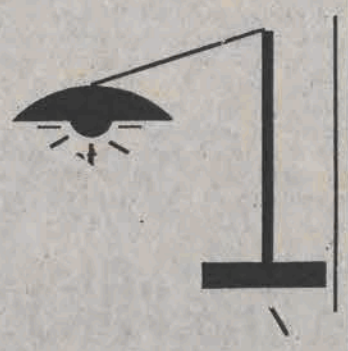

Nasza zasada to niska stopa zysku a wysoki obrót.

Zapraszamy do nas:

Hurtownia Artykułów Elektrycznych
JUST-AMICO
Łódź, ul. Duńska 1, tel. 52-12-02

FIRMA „OVERLOCK"

poleca

- cięcie lamówki
- **naprawy**
- **części do maszyn**
- **maszyny szwalnicze**
- **igły**

Łódź, ul. Zamknięta 1 tel. 48-31-20, 87-95-67

Ogłaszaj się w „Odgłosach"

HURTOWNIA EXPORT-IMPORT

Łódź
ul. Rzgowska 2a

tel. 84-52-26,
81-50-93

POLECA:

1. *Odzież (bluzki, swetry, skarpety)*
2. *Zabawki*
3. *Wózki z pozytywkami – 2 rodzaje*
4. *Papier ozdobny (folia)*
5. *Biżuterię*
6. *Dzianiny krajowe*
7. *Inne wyroby z:*
   Korei, Chin, Turcji, RFN, Szwecji

Zapraszamy w godz. 8.00-18.00

Życzymy udanych zakupów

STAWIAMY NA JAKOŚĆ

Mikrokomputery Pc 286, 386, 486, dyskietki HD

Dla koneserów oryginalne płyty 386 INTEL'a ceny promocyjne

Drukarki SEIKOSHA, STAR, HEWLETT PACKARD
Instalacja sieci NOVELL. Oprogramowanie
Listwy przeciwzakłóceniowe 10 Amp, 5 gniazd – 250.000,–zł
Świadczymy kwartalne konserwacje sprzętu minikomputerowego.

P.Z. „RODAN", ŁÓDŹ, ul. Szparagowa 6/8, tel. 52-40-68, tel. i fax 52-10-07 tlx 886103 rodan pl.

To nie okazja
To stałe działanie
Tylko

BUDOHURT S.A.

Łódzka Centrala Materiałów Budowlanych
„BUDO-HURT" S.A. w Łodzi

w sklepie przy ul. Gdańskiej 140 i Hurtowni przy ul. Tuwima 97

oferuje bogaty wybór tanich i jakościowo najlepszych materiałów budowlanych i instalacyjnych, m.in.:

rewelacyjny wybór glazury, zlewozmywaki z blachy nierdzewnej.

Przyjedź, sprawdź a wyjedziesz zadowolony. Zakupy hurtowe to szansa na negocjacje cenowe.

Zakłady Przemysłu Pończoszniczego „SANDRA"

Aleksandrów Łódzki
ul. Piotrkowska 10/12
tel. 12-10-30, 12-17-24, 52-22-17

oferują do sprzedaży:

w szerokiej gamie wzorniczo-kolorystycznej
● skarpety ● podkolanówki ● rajstopy z bawełny, anilany, elastilu.

ZAPRASZAMY do zakupów w sieci własnej:

ALEKSANDRÓW ul. Piotrkowska 10/12
ul. Wojska Polskiego 64, tel. 12-17-27
KUTNO, al. ZHP 8
KOŚCIAN, ul. Wrocławska 3a
POGORZELICA k. Trzebiatowa woj. szczecińskie – OWS „SANDRA"

POZNAŃ, ul. Piątkowska 23 tel. 23-87-23
TORUŃ, ul. Fałata 35/37

POSZUKUJEMY:

- **lokali na sklepy firmowe o pow. do 80 m²**
- **akwizytorów**

SOBOTA

20 lipca

PROGRAM I

7.00 W sobotę rano
7.45 Tydzień na działce
8.15 Piłkarska kadra czeka
8.35 Ziarno – program redakcji katolickiej
9.00 Wiadomości poranne
9.10 Teleferie – Walt Disney przedstawia
10.25 Na zdrowie
10.45 Żołnierz nieznany
11.10 Wędrówki dalekie i bliskie – Film dokumentalny
11.50 Z Polski rodem – magazyn polonijny
12.20 Wielki sport – Koszykówka zawodowa NBA
13.50 Siódemka w jedynce – „Czasy katedr" (6) – serial dokumentalny prod. francuskiej
14.45 „Niemcy bez muru 1990" (3–ost.) – serial dokumentalny prod. niemieckiej
15.45 Telefoniada – teleturniej z udziałem telewidzów
16.45 Rokendroler – magazyn polskiej muzyki rockowej
17.15 Teleexpress
17.35 Loża – magazyn teatralny
18.00 Studio sport
18.55 Z kamerą wśród zwierząt
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 „Do Teksasu" (1) – film fabularny produkcji USA
21.25 Sportowa sobota
21.40 Satchmo – film dok.
23.05 Wiadomości wieczorne
23.30 „Frederic Forsyth przedstawia" – „Siewca śmierci" – film produkcji USA (1990 r. – 90 min.)

PROGRAM II

10.00 CNN
10.15 Magazyn telewizji śniadaniowej
10.40 „Sekretny dziennik Adriana Mole'a" – serial
11.05 Tacy sami
11.25 Czapka dla skina
12.25 Dookoła świata
12.55 „Karnawał" Schumanna
13.25 Zwierzęta świata
13.55 Video – junior
14.25 Program dnia
15.00 „Zezem" – serial
15.30 „Santa Barbara"
17.00 Studio tajemnic
17.30 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
18.00 Program lokalny
18.30 Kabaret „De-ka-de"
19.00 Film dokumentalny
19.30 Galeria 38 milionów
20.00 Studio sport
21.00 Hale i Pace
21.30 Panorama dnia
21.45 Bez znieczulenia
22.00 Słowo na niedzielę
22.05 Film fabularny
23.20 CNN

NIEDZIELA

21 lipca

PROGRAM I

7.30 Kraj za miastem – Niewolnik biurokracji
7.55 Po gospodarsku
8.10 Od niedzieli do niedzieli
8.55 Program dnia
9.00 Teleferie: „Darby O'Gill i krasnoludki" – film fabularny produkcji USA (r. prod. 1959, 87 min.)
10.30 „Przygody roślin" – serial dokumentalny produkcji francuskiej – „Usadowić się na drzewie" (6)
11.00 Notowania, czyli co się opłaca rolnikowi
11.25 Kukliński – program dokumentalny
11.50 Telewizyjny koncert życzeń
12.20 Corcom regional prezentuje...
12.50 Magazyn Morze
13.10 World Net na antenie Jedynki
14.10 Alfabet komediantów
14.50 Tak było w Olsztynie – reportaż
15.20 I co dalej – teleturniej
15.45 Telewizjer
16.05 Z archiwum Teatru Telewizji „Warszawa da się lubić" – widowisko muzyczne w reż. Konrada Swinarskiego (1960) – wyk. Elżbieta Czyżewska, Barbara Rylska, Zofia Mrozowska, Józef Nowak, Mieczysław Czechowicz, Wojciech Pokora, Stanisław Grzesiuk
16.45 Film dokumentalny
17.15 Teleexpress
17.35 Smak życia
18.15 Wokół wielkiej sceny
19.00 Wieczorynka
19.30 Wiadomości
20.05 „Miliarderka" (3-ost.)
21.30 7 dni – świat
22.00 Sportowa niedziela
22.20 Wiadomości wieczorne
22.40 Rewizja nadzwyczajna

PROGRAM II

10.10 Jutro poniedziałek
10.30 Program lokalny
11.00 Wybrańcy Melpomeny
11.30 Wspólnota w kulturze
12.00 Reportaż
12.30 Express dimache
12.45 Gość Dwójki
13.00 PKF
13.10 100 pytań do...
13.50 Henryk Debich proponuje
14.10 „Przyłbice i kaptury"
15.10 Połowy na rzece wspomnień
16.00 Podróże w czasie i przestrzeni
16.55 Program dnia
17.00 Studio sport
17.30 Bliżej świata
18.30 Wspomnienie o Jerzym Dobrowolskim
19.00 Wydarzenie tygodnia
19.30 Galeria Dwójki
20.00 Koncert gwiazd XXX Festiwalu Moniuszkowskiego
21.00 Recital Jolanty Arnal
21.30 Panorama dnia
21.45 „Eden utracony" (1)
22.35 Program rozrywkowy

PONIEDZIAŁEK

22 lipca

PROGRAM I

16.55 Aktualności telegazety
17.00 Studio lato
17.15 Teleexpress
17.30 Studio lato
18.00 Dziedzictwo Guldenburgów (6) – serial
18.25 Studio lato
19.15 Dobranoc – Przygody Bolka i Lolka
19.30 Wiadomości
20.05 Spektakl na bis – Teatr Telewizji – Marian Hemar „Firma" – reż. Edward Dziewoński, wyk.: Ewa Wiśniewska, Leonard Pietraszak, Witold Pyrkosz, Grzegorz Damięcki, Józef Konieczny, Andrzej Grzybowski, Edward Dziewoński, Waldemar Walisiak, Sławomir Pacek
21.35 Szopka w Grajdole – widowisko rozrywkowe z udziałem Andrzeja Zaorskiego, Jolanty Zykun, Jerzego Kryszaka
22.35 Wiadomości wieczorne
22.55 Reportaż
23.20 Dziedzictwo Guldenburgów (6) – serial
23.45 BBC – World Service

PROGRAM II

16.45 Powitanie
17.00 Opole 91 – Debiuty
17.30 Cudowne lata – Fatum – serial produkcji USA
18.09 Program lokalny
18.30 Przegląd Kronik Filmowych
19.00 Ojczyzna-polszczyzna – Ortograficzne kłopoty
19.15 Za kierownicą
19.25 Zapraszamy do Dwójki
19.30 Śpiewa Maciej Witkiewicz
20.00 Pół godziny nowoczesności – przedstawia Maciej Bratkowski
20.30 Bez emocji – O kulturze politycznej – program Ryszarda Bojko
21.20 Maraton trzeźwości – program Ewy Cendrowskiej
21.45 Sport
21.55 Jarosław Mądry, cz. 2 – film produkcji radzieckiej
23.10 Rozmowy o cierpieniu

WTOREK

23 lipca

PROGRAM I

9.00 Wiadomości poranne
9.10 Teleferie
9.35 Kino teleferii
10.00 To się może przydać
10.25 Matyas Sandor (4) – serial
11.25 Aktualności telegazety
17.00 Studio lato
17.15 Teleexpress
17.30 Studio lato
18.00 Dziedzictwo Guldenburgów (7) – serial
18.25 Studio lato
18.55 W Sejmie i Senacie
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 „Powroty" – film fabularny produkcji polskiej
21.05 Zespół publicystyki „Zapis" przedstawia: Petenci
21.35 Umieć żyć
21.50 Telemuzak
22.30 Wiadomości wieczorne
22.50 Dziedzictwo Guldenburgów (7) – serial prod. niemieckiej
23.15 BBC

PROGRAM II

8.00 CNN
8.10 Język angielski (11)
8.40 Santa Barbara – serial produkcji USA
9.25 Magazyn telewizji śniadaniowej
10.00 CNN
10.15 Ameryka w moich oczach – reportaż
16.45 Powitanie
17.00 Archiwum Neptuna – Powrót na Falklandy
17.30 Cudowne lata – Urodziny – serial produkcji USA
18.00 Program lokalny
18.30 Modlitwa wieczorna
18.50 Seans filmowy
19.30 W teatrze jednego aktora
20.00 Siódemka w jedynce
21.00 Wywiady Ireny Dziedzic
21.20 Magazyn przechodnia
21.30 Panorama dnia
21.45 Sport
21.55 Sherlock Holmes – W obliczu śmierci – film fabularny
23.05 CNN

ŚRODA

24 lipca

PROGRAM I

9.00 Wiadomości poranne
9.10 Teleferie
9.35 Kino teleferii
10.00 Przyjemne z pożytecznym
10.25 Dynastia – serial produkcji USA
11.15 Aktualności telegazety
17.00 Studio lato
17.15 Teleexpress
17.30 Dziedzictwo Guldenburgów (8) – serial
18.25 Studio lato
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 Dynastia – serial produkcji USA
20.55 Kabaret Starszych Panów – Czternaście i trzy czwarte
22.00 Studio sport – Superpuchar w piłce nożnej: Zagłębie Lublin-GKS Katowice
22.50 Wiadomości wieczorne
23.10 Art
23.30 Dziedzictwo Guldenburgów (8) – serial
23.55 BBC – World Service

PROGRAM II

8.00 CNN
8.10 Język angielski (12)
8.40 W labiryncie – serial tp
9.40 Magazyn telewizji śniadaniowej
10.00 CNN
10.15 Ameryka w moich oczach
16.45 Powitanie
17.00 Magazyn ekologiczny
17.30 Cudowne lata – Promienne skrzydło – serial produkcji USA
18.00 Program lokalny
18.30 M.A.S.H. (11) – serial produkcji USA
19.00 Kadr
19.30 Koncert muzyki dawnej
20.00 Cały świat gra komedię
20.40 Moje książki
21.00 Camerata 2 przedstawia
21.30 Program dnia
21.45 Przegląd sejmowy
22.00 Dziewczyna z Mazur (4) – serial tp
22.55 Sport
23.05 Telewizja nocą

CZWARTEK

25 lipca

PROGRAM I

6.00 Dzień dobry
9.00 Wiadomości poranne
9.10 Kino teleferii
10.10 Po sześćdziesiątce
10.30 Van der Valk (3) – serial kryminalny produkcji angielskiej
12.10 Aktualności telegazety
17.00 Studio lato
17.15 Teleexpress
17.30 Studio lato
17.40 Dziedzictwo Guldenburgów (9) – serial produkcji niemieckiej
18.25 Studio lato
18.50 Magazyn katolicki
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 Van der Valk (3) – serial kryminalny produkcji angielskiej
21.50 Goście Andrzeja Zarębskiego
22.05 Pegaz
22.35 Wiadomości wieczorne
22.55 Forum 91
23.25 Dziedzictwo Guldenburgów (9) – serial produkcji niemieckiej
23.50 BBC – World Service

PROGRAM II

7.55 Powitanie
8.00 CNN
8.10 Język angielski (13)
8.40 Santa Barbara – serial produkcji USA
9.25 Magazyn telewizji śniadaniowej
10.00 CNN
16.45 Powitanie
17.00 Teleklinika dr. Anatolija Kaszpirowskiego
17.30 Cudowne lata – Squara Dance – serial produkcji USA
18.00 Program lokalny
18.30 Pod wspólnym dachem (4) – Pasta do zębów – serial produkcji francuskiej
19.00 Magazyn 102
19.30 Film dokumentalny
21.00 Ekspres reporterów
21.45 Sport
21.55 100-lecie Carnegie Hall (1) wyk.: Orkiestra Filharmoników
23.35 CNN

PIĄTEK

26 lipca

PROGRAM I

8.00 Dzień dobry
9.00 Wiadomości poranne
9.20 Teleferie
9.35 Nowe przygody Hemana – serial animowany produkcji USA
10.00 Szkoła dla rodziców
10.25 Janosik (4) – serial tp
11.10 Aktualności telegazety
17.00 Studio lato
17.15 Teleexpress
17.30 Studio lato
18.00 Dziedzictwo Guldenburgów (10) – serial
18.25 Studio lato
19.00 Ekspres gospodarczy
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 Miasteczko Twin Peaks (13) – serial produkcji USA
20.55 Zespół publicystyki Zapis przedstawia
21.35 Siódemka w Jedynce
22.40 Wiadomości wieczorne
23.05 1000 pytań – teleturniej
23.50 Dziedzictwo Guldenburgów (10) – serial
00.15 BBC – World Service

PROGRAM II

7.55 Powitanie
8.00 CNN
8.10 Język angielski (14)
8.40 W labiryncie – serial tp
9.30 Magazyn telewizji śniadaniowej
10.00 CNN
16.45 Powitanie
17.00 Program publicystyczny
17.30 Cudowne lata – Czyj to las? – serial produkcji USA
18.00-21.30 Program regionalny
21.30 Panorama dnia
21.45 Sport
21.55 Nie zawsze musi być kawior (3) – Gdy niedźwiedzie polarne opuszczają nory – serial produkcji niemieckiej, reż. Thomas Engel
22.55 Obrazy, słowa, dźwięki – program o sztuce
23.55 CNN
0.05 Program na sobotę
0.10 Noc z anteną 5 – program rozrywkowy z Wrocławia

Restauracja
„ŚWIETLIK"
Łódź, ul. Wspólna 6 tel. 34-33-21
zaprasza na:
- bankiety
- przyjęcia weselne
- obiady abonamentowe

FIRMA „DOMATOR" ZAPRASZA

DO SWOICH SKLEPÓW:

- **Najtańszy sprzęt audio-video, fotograficzny, komputery, CB itp.**

Łódź,
ul. Piotrkowska 102a, tel. 33-70-14
ul. Ćwiklińskiej 22, tel. 48-10-31
ul. Rzgowska 12, tel. 84-23-44

- **Najniższe ceny PFAFF-a**

– hafciarka 1475 CD – 17.500.000 zł
– overlock 3 nitk. – 5.500.000 zł
– overlock 5 nitk. – 8.800.000 zł
– elektronic 6000 – 16.700.000 zł

Łódź, ul. Piotrkowska 102a,
telefon 33-70-14

- **HURT, Biuro Handlowe**
Łódź, ul. Piotrkowska 120,
telefon 32-58-86

AUTO SERWIS
MAREDI MB sc.

zaprasza do swoich zakładów

Zakład nr 1
Łódź, ul. Strykowska 33/43
tel. 55-56-55

- Naprawy Fiat 126p (autoryzacja)
- Blacharstwo
- Lakiernictwo
- Diagnostyka
- Przeglądy rejestracyjne

Zakład nr 2
Łódź, ul. Wieniawskiego 70a
tel. 48-73-84

- **PROWADZI SPRZEDAŻ SAMOCHODÓW FSM – Fiat 126p za gotówkę i na raty**
- Sprzedaż części zamiennych Fiat 126p
- Myjnia samochodów
- Komis i wypożyczalnia samochodów
- Holowanie

● Z cukrowni w Krasnymstawie zniknęło 316 ton cukru o wartości 1 106,6 mln zł. Przyjechali przedstawiciele Spółki „Handel Hurtowy Export-Import", Warszawa ul. Wolska 6 oraz „Przedsiębiorstwa Usługowo-Handlowego Hurt Export-Import Artykułów Przemysłowych i Spożywczych", Warszawa ul. Nasielska 25, wystawili zamówienia, wypisali rachunki, cukier zabrali i odjechali. Gdy przyszło do płacenia nie było komu płacić. Okazało się bowiem, że firmy takie nie istnieją ani pod wskazanymi adresami, ani w ogóle. W Warszawie nigdy nie brakowało cwaniaków, którzy nabierali naiwnych. Kiedyś nawet chcieli obywatelom z prowincji sprzedać Kolumnę Zygmunta. Teraz widać ruszyli w Polskę.

● Po odrzuceniu przez Sejm prezydenckich poprawek do Konstytucji i ordynacji wyborczej poseł Stefan Niesiołowski uznał, że określenie posłów postkomunistycznych mianem Targowica byłoby dla nich nieuzasadnionym komplementem. Targowica miała bowiem klasę, której postkomunistyczni posłowie nie mają. Nie ma się czemu dziwić, przecież twórcami Targowicy byli polscy arystokraci.

● Rozmowa w prywatnym sklepie warzywnym przy ul. Tuwima.

– *Patrz pan, co się dzieje, jak atakują tego naszego prezydenta. Przecież to głowa państwa. Tak nie uchodzi.*

– *Masz pan rację. Na tego jąkałę Michnika nie ma żadnej rady. Przed wojną, panie, to by go już zamknęli w Berezie Kartuskiej!*

● Po uchwaleniu ustawy o powszechnym opodatkowaniu, nie wyłączając emerytów i rencistów, ZJM komentuje:

Pieniędzy trzeba nam zastrzyku,
Sięgnijmy więc do nieboszczyków,
Niechaj nie myślą oni sobie,
że można darmo leżeć w grobie.

● Nadzwyczajna Komisja Sejmowa pod przewodnictwem Włodzimierza Cimoszewicza złożyła sprawozdanie ze swojej działalności. Wywołało to burzę z gromami, które posypały się na głowę referującego. Burza przeszła i wydawało się, że nielegalny import spirytusu zniknął. Ale oto do Szczecina zawitał z rejsu do Europy Zachodniej drobnicowiec PLO MS „Wejherowo". Celnicy weszli na pokład i znaleźli 7000 litrów szmuglowanego spirytusu. Jak z tego widać przemytnicy nie przelękli się grzmotów, jakie rozlegały się w sali obrad Sejmu RP. Oni hołdują zasadzie: kto nie ryzykuje, temu źle się powodzi.

● W Łodzi odnotowano sukces międzynarodowy: Kąpielisko „Fala" zostało wpisane do Międzynarodowego Rejestru Obiektów Naturystycznych. Gratulacje!

● Na XX Sesji Rady Miejskiej dwójka radnych zgłosiła interpelację w sprawie restauracji „Nowa Europa", która zakłóca spokój mieszkańcom okolicznych domów. Na XXI Sesji Rady Miejskiej radni dowiedzieli się tylko tyle, że urzędnicy Wydziału Handlu Usług i Rolnictwa nadal pracują nad odpowiedzią. Ciekawi nas, ile też czasu potrzeba urzędnikowi tego wydziału na wyjaśnienie, zdawałoby się, tak prostej sprawy?

● Miłośnicy seriali „Santa Barbara" i „Alf" mają powody do płaczu. Oba seriale kończą się. Tak przynajmniej zapowiedziano. „Santa Barbara" kończy się 30 lipca. Dalsze losy bohaterów można oglądać w satelitarnym programie RTL w serialu „Clan California". Natomiast „Alfa" w satelitarnym programie „Sky One". W tym samym programie można oglądać też nadawany od początku serial „Santa Barbara". Drobnostka, trzeba tylko znać język angielski lub niemiecki. W naszej telewizji nadszedł natomiast czas pokuty za grzechy z poprzednich epok i poprzednich ekip.

● Nowy naczelny redaktor „Dziennika Łódzkiego" Maciej Rosalak wystąpił gościnnie na łamach „Rzeczpospolitej",gdzie opisał przebieg sesji Rady Miejskiej. Na wszelki wypadek nie podał nazwy miasta, gdzie ta rada obradowała. Ale czytelnicy z Łodzi domyślili się, w czym rzecz i zapanowało oburzenie. Mówiło się nawet, że na XXI Sesji Rady Miejskiej w Łodzi padnie wniosek o wotum nieufności dla red. Macieja Rosalaka. Tak się nie stało na szczęście, bo inaczej padłby kolejny mit – niezależnego dziennikarstwa.

● Podczas konferencji prasowej zorganizowanej z okazji rocznej działalności Rady Miejskiej w Łodzi jej przewodniczący Andrzej Ostoja-Owsiany przyznał się, że podczas wizyty premiera Jana Krzysztofa Bieleckiego w Łodzi został zaproszony tylko na podwieczorek.

● Zastępca dyrektora PPTT w Łodzi Władysław Olczak za pośrednictwem „Dziennika Łódzkiego" przeprosił abonentów, którym w czasie trwania „Interfashion '91" odłączono telefony. Otrzymali też oni, tytułem rekompensaty, po 50 000 zł od dyrekcji Targów. Tak trzymać!

B.M.

CZYTELNICY PISZĄ

W rubryce tej zamieszczamy teksty zawierające poglądy lub opinie, które redakcja nie zawsze podziela

Czy grozi nam widmo klerykalizmu?

„Nie chcę, ale muszę" zareagować na felieton p. **Jana Wolborskiego,** zamieszczony w nr 5 „Odgłosów" z dnia 23 VI br., pod tym właśnie tytułem. Nie chcę, gdyż jestem przekonany z góry, iż moje argumenty nie przekonają Autora. Natomiast muszę, gdyż nikt na pewno nie zareaguje na treści wyrażone w felietonie. We wspomnianym artykule Autor polemizuje z wypowiedzią Ks. Bpa Adama Lepy, zdaniem którego ewangelizacja i zwyczajna działalność Kościoła jest przez wielu interpretowana jako klerykalizacja, zwłaszcza dotyczy to tych, którzy chętnie widzieliby Kościół w rezerwacie. Zdaniem p. Wolborskiego klerykalizm to tendencja zmierzająca do podporządkowania życia społeczeństwa wpływom duchowieństwa i Kościoła. Definicje tego zjawiska wyróżniają klerykalizm w aspekcie zewnętrznym jako bezpośrednie roszczenie posiadania władzy w dziedzinie politycznej, gospodarczej, społecznej i kulturalnej przez kler, lub w aspekcie wewnątrzkościelnym jako upośledzenie wiernych świeckich przez duchowieństwo wewnątrz Kościoła. Zarówno klerykalizm zewnętrzny jak i wewnętrzny został przez Kościół potępiony i uznany jako nadużycie kościelnych uprawnień, jako ekstrapolacja władzy Kościoła w zakresie duchowym, jako coś godnego ubolewania. Jednak zdarzało się, także w najnowszej historii, iż zwłaszcza w sytuacji konfrontacji z systemem totalitarnym, Kościół stawał się jedyną instytucją, która pełniła także funkcje szersze, zastępcze, budząc sumienie narodu i przyczyniając się do zachowania jego duchowej tożsamości. Dowodem, iż tak jest w rzeczywistości może być sytuacja prawna. Prawo kanoniczne zabrania duchownym bezpośredniej działalności politycznej.

Nasuwa się obecnie pytanie: czy istnieje zjawisko klerykalizmu w Polsce? Zgodnie ze stanowiskiem Autora duchowieństwo i Kościół chcą podporządkować sobie życie społeczne. Duchowieństwo nie stanowi chyba problemu, gdyż jest to stosunkowo niewielka grupa ludzi pochłonięta pracą duszpasterską. Na przykład pięciu księży pracujących w pięćdziesięciotysięcznej parafii z punktu widzenia kryteriów socjotechniki nie jest w stanie narzucić swoim parafianom taki czy inny pogląd. Chodzi więc o coś innego: Czy Kościół, a więc czy cały Lud Boży, czy miliony ludzi wierzących w Polsce mają prawo wyznawać swoją wiarę i żyć zgodnie ze swoimi przekonaniami. Czy np. chrześcijanie, którzy nie chcą mieć krwi niewinnych istot na swoich rękach mogą się zwolnić od dążenia, aby istniejący stan prawny w jakiejś mierze przynajmniej odzwierciedlał wartości ogólnoludzkie i chrześcijańskie?

Pan Wolborski twierdzi, iż Bóg mu nie przeszkadza, ale wyznawcy chrześcijaństwa winni się schować, głęboko ukryć. Wiara winna być, zdaniem Autora, głębokim, ale dyskretnym, osobistym przeżyciem wewnętrznym. Ten postulat jednak nie dotyczy Autora i podobnie myślących. Oni nie muszą być dyskretni, **nie muszą ukrywać swoich pogańskich i antyludzkich poglądów w głębi prywatności.** Mogą i powinni głosić i narzucać swoje poglądy poprzez środki komunikacji masowej. Łamy ogromnej ilości czasopism, radio czy telewizja są szeroko udostępniane dla ataków na fundamentalne wartości chrześcijańskie i ogólnoludzkie. Dla ilustracji wymienię niedawny program telewizyjny, w którym w bluźnierczy sposób parodiowano Mszę św., niesmaczny kabaret p. O.L. Można też mówić o szerzeniu nienawiści. Np. w „Odgłosach" z 16 VI br. został zamieszczony artykuł J. Machejka *„Szatan krąży po ulicy Pienistej"*. Artykułowi towarzyszy karykatura, autorstwa p. Pietrzaka przedstawiająca Szatana, który trzyma w ręku banknot. Za banknotem podąża wesz ze świńskim ryjem, ubrana na czarno, w birecie. Tego rodzaju karykatury niosące w sobie tyle jadu i nienawiści oraz pogardy dla drugiego człowieka zdarzały się chyba tylko w czasach Adolfa Hitlera. We wspomnianym artykule w sposób bezczelny i cyniczny ingeruje się z zewnątrz w sprawy wspólnoty ludzi wierzących, szydząc sobie z najświętszych wartości i przekonań tych ludzi.

Chrześcijanie nie mają prawa wypowiadania swoich poglądów, winni zdaniem postępowych głosicieli się ukrywać, natomiast głosiciele antywartości, wolności od Dekalogu, winni mieć prawo agresywnego narzucania swoich poglądów w imię nowoczesności. Jest to bardzo osobliwy pluralizm. Aby jeszcze bardziej utwierdzić p. Wolborskiego w jego poczuciu wyższości nad zacofanym klerem wyrażę przy okazji kilka wątpliwości. Nie mogę pojąć jak to się dzieje, iż duża część naszego społeczeństwa, mimo iż ma dostęp do informacji o takich faktach jak wzrost świadomości moralnej w wielu krajach świata, czego wyrazem jest walka o ochronę życia ludzkiego, lub też wniesiony projekt do Parlamentu Europejskiego o umożliwienie eutanazji, czyli możliwości zabijania ludzi starych pod takim czy innym pretekstem, nie może zrozumieć, iż walka toczy się o najwyższe wartości. Może ci, którzy z takim entuzjazmem domagają się nieskrępowanej wolności w zabijaniu, dzięki kolejnym „postępowym" zdobyczom głosicieli wolności od Dekalogu będą mieli szansę osobiście skorzystać z dobrodziejstwa eutanazji. Kolejna moja wątpliwość dotyczy manipulacji związanych z problematyką propagowania za wszelką cenę swobody seksualnej. Kościół nawet w Średniowieczu otaczał opieką trędowatych, jednak nigdy trędowaci nie mieli aspiracji narzucania swojego trądu innym. Wolność życia seksualnego ludzi zarażonych AIDS nie powinna mieć wyższej rangi niż ochrona ludzi moralnie i fizycznie zdrowych. I jeszcze jedna sprawa. Od pewnego czasu „niewidzialne ręce" malują antychrześcijańskie hasła na ścianach kościołów, w podziemnych przejściach itp. Treść i forma tych napisów wskazuje na to, iż autorami są nieliczne jednostki; ten sam charakter pisma uwidacznia się w licznych miejscach, treść przemyślana, zjadliwa pozwala zidentyfikować pomysłodawców. Te zjawiska, jak również antychrześcijańska agresja w środkach masowego przekazu winny obudzić czujność wszystkich ludzi uczciwych, nie tylko wierzących. Wcześniej czy później społeczeństwo zrozumie, że ci, którzy demagogicznie szermują hasłem klerykalizacji, są jedynie zwolennikami cywilizacji nienawiści i śmierci.

ks. Waldemar Kulbat
dr. nauk humanistycznych
w zakresie filozofii i socjologii

W odpowiedzi ks. Waldemarowi Kulbatowi

Jestem szczerze wdzięczny księdzu doktorowi Waldemarowi Kulbatowi za Jego polemiczny tekst w związku z moim felietonem „Nie chcę, ale muszę", bowiem jest to dowód, że problem klerykalizacji życia w Polsce istnieje, wywołuje spory i skłania do różnych punktów widzenia. Nie uzurpuję sobie monopolu na jedynie słuszny punkt widzenia tej kwestii, z zainteresowaniem przeczytałem wywód mego Polemisty i uznaję Jego prawo do odmiennego zdania. Ksiądz sądzi, że widmo klerykalizmu nam nie grozi, ja uważam, że to widmo już się zmaterializowało. Swój punkt widzenia pozwolę sobie przedstawić w jednym z najbliższych felietonów.

Myślę, że pięknie można się nie tylko zgadzać, ale i różnić w swych poglądach, zachowując szacunek dla myślących inaczej, niezależnie od tego czy naszym strojem codziennym jest garnitur czy sutanna. Muszę jednak wyznać, że zasmucił mnie Ksiądz Doktor ułatwieniem sobie polemiki w sposób nie fair (ubolewam nad tym, ale widać takie teraz obyczaje) i „ustawianiem" sobie adwersarza, czyli mnie. Oto bowiem z polemicznego tekstu dowiedziałem się, że tacy jak ja:

1) *„nie muszą ukrywać swoich pogańskich i antyludzkich (?!) poglądów w głębi prywatności"* i narzucają je poprzez środki komunikacji masowej *„szeroko udostępniane dla ataków na fundamentalne wartości chrześcijańskie i ogólnoludzkie"*,

2) *„chętnie widzieliby Kościół w rezerwacie" (?)*,

3) *„z takim entuzjazmem domagają się nieskrępowanej wolności w zabijaniu" (?!)*,

4) nie mogą *„zrozumieć, iż walka toczy się o najwyższe wartości"* i są głosicielami *„wolności od Dekalogu"*,

5) *„demagogicznie szermują hasłem klerykalizacji (i) są jedynie zwolennikami cywilizacji nienawiści i śmierci" (?!)*.

Nie rozumiem dlaczego mój Polemista ironizuje na temat mojej postępowości oraz chce mnie ironicznie utwierdzać w *„poczuciu wyższości nad zacofanym klerem"* – niczego takiego nie odczuwam, i czemu wreszcie sugeruje (wprost tego pod moim adresem nie pisze, przyznaję), że *„tyle jadu i nienawiści oraz pogardy dla drugiego człowieka zdarzało się chyba tylko w czasach Adolfa Hitlera"* (?!).

Wielebny Księże Doktorze, proszę pozwolić mi w związku z tym na dwie uwagi: szkoda że polemikę ad rem (Ksiądz przyznaje, że klerykalizm Kościół potępia, uznaje za nadużycie i coś godnego ubolewania, a zatem jest zjawisko, skoro się je potępia, są jego przyczyny i o tym warto podyskutować) zastąpiła nieelegancka metoda ad personam – dyskredytacji człowieka myślącego odmiennie. A druga uwaga, którą proszę mi wybaczyć, to przypomnienie zapewne doskonale znanego Księdzu tekstu o człowieku, który choćby mówił różnymi językami, artykuły pisał, a miłości by nie miał, będzie jako miedź brząkająca.

Nie oczekuję miłości, wystarczy mi gotowość na zrozumienie moich argumentów i rzeczowa dyskusja. Będę wielce zobowiązany, jeśli Ksiądz Doktor w przyszłości, być może podejmując kolejną polemikę z moimi felietonami, zechce łaskawie o tym pamiętać.

Łączę wyrazy szacunku

Jan Wolborski

Pytania do A. Kaszpirowskiego

– na wyłączność „Odgłosów"

– Moje dziecko ma porażenie mózgowe. Czy mógłby mu pan pomóc?

– Jest to przypadek, gdy najważniejszy organ przez który przepływają informacje, jest porażony. To tak samo, jakby patrzeć przez mętną soczewkę. Nic nie będzie widać.

– Czy można samemu wyleczyć się sugestią?

– Zależy, jak u kogo jest ona rozwinięta. Jeśli dobrze, wyleczenie jest możliwe.

– Co pan myśli o leczeniu ziołami?

– Jeśli stosuje się je fachowo, to dobrze myślę.

P.S. **Korespondencję do dr. A. Kaszpirowskiego prosimy nadsyłać pod adresem redakcji. Wśród nadsyłających listy co tydzień rozlosowana będzie kaseta z nagraniem seansu doktora. Prosimy o dokładne podawanie adresu!**

„Polmozbyt" wyjaśnia

Żądam sprostowania informacji zamieszczonej w drugim numerze „Odgłosów" (str. 4) z 2 czerwca 1991 roku w formie i wielkości przewidzianej prawem prasowym (art. 31 Ustawy z 26.I.1984 r. o prawie prasowym Dz. U, Nr 5/84).

Po pierwsze – nieprawdziwa jest informacja, jakoby w Spółce Transpool miała udziały „osoba z kierownictwa łódzkiego Polmozbytu", czego dowód w postaci postanowienia Sądu Rejonowego w Łodzi z 9.I.1991 roku wraz z listą wspólników załączam.

Po drugie – nieprawdą jest, by Polmozbyt kiedykolwiek i po jakichkolwiek cenach dokonał sprzedaży samochodów Hyundai Spółce Transpool.

Po trzecie – nieprawdziwe są również informacje na temat samej wyceny aportu, jaki Polmozbyt chciałby wnieść do spółki, jak i informacje dotyczące zewnętrznej formy tej wyceny. Jest rzeczą do ustalenia przez wyspecjalizowane i wiarygodne jednostki, jaka jest właściwa wartość stacji obsługi samochodów przy ulicy Targowej 22, niemniej jednak faktem jest, że wycena przeprowadzona w ciągu 3 godzin przez biegłego sądowego pana Jerzego Fijałkowskiego zawiera karygodne wręcz błędy. Na przykład do wyceny zostały włączone składniki majątkowe nie będące przedmiotem aportu, czego faktem jest jej poważne zawyżenie. O nieprawidłowościach wyceny dokonanej przez pana Jerzego Fijałkowskiego poinformowano odrębnym pismem właściwe instytucje, dokumenty są do wglądu w przedsiębiorstwie.

Na marginesie, pierwsza wycena kapitałowa była dokonana metodami ustalonymi przez Ministerstwo Przekształceń Własnościowych przez – zalecone przez ten resort – biuro, na podstawie obszernego materiału i jak do tej pory nie została merytorycznie zakwestionowana przez powołane do tego organy kontroli. Stąd podana przez anonimowego autora informacja, że wycena przedstawiona została na kartce formatu A-4 całkowicie mija się z prawdą.

W przyszłości proszę dopełnić należytej staranności w zbieraniu informacji prasowych i nie rozpowszechniać plotek o charakterze pomówień (art. 12 cytowanej ustawy).

dyrektor PP „Polmozbyt" w Łodzi
mgr Jan Grzesiek

* * *

Od redakcji: Surowe pouczenie przyjmujemy do wiadomości, jednocześnie wyjaśniając, że informację, która wzbudziła tak kategoryczny sprzeciw dyrekcji „Polmozbytu", zdobyliśmy w Zarządzie Regionu NSZZ „S", przepisując z pisma wysyłanego do Kancelarii Prezydenta RP, a podpisanego przez mec. Jerzego Ciesielskiego, mgr inż. Bogumiła Kwiatkowskiego, biegłego sądowego i mgr inż. Janusza Fijałkowskiego, zaprzysiężonego biegłego sądowego – doradców Zarządu d/s prywatyzacji. Nie było powodów, by tym informacjom nie wierzyć.

Tak jak nie ma powodów, by nie wierzyć w prawdziwość informacji w punkcie „po drugie", choć są to tylko słowa, poparte podpisem dyrektora „Polmozbytu", mgra Janą Grześka.

Marek Koprowski

Jedno danie Anny-Marii

Samochód do testowania

Kilka dni temu, dokładnie 10 lipca, który jest jak każdy dziesiąty dzień każdego kolejnego miesiąca ostatnim terminem różnorakich obowiązkowych płatności i z tego powodu chociażby powinien być ogłoszony systematycznym, comiesięcznym dniem żałoby (bo jeśli człowiekowi ubywa w jednym dniu prawie połowa jego pensji, to nastrój musi mieć żałobny) – stałam w długiej kolejce do okienek ZUS w celu opłacenia się na własną emeryturę. Jej szczególne dobrodziejstwo polega wyłącznie i jedynie na tym, że wykazuje się galopującą zwyżkowo składką (obecna: 734 tys.) oraz humanitarną względem opłacającego się tajemnicą dotyczącą wysokości jego przyszłej emerytury. Jaka ta emerytura będzie, gdy wreszcie do niej dobrnę ukończywszy dostojny wiek sześćdziesięcioletniej jubilatki – ZUS nie wie. Zresztą, skąd miałby wiedzieć? Skoro tego w tym zacnym kraju ciągle nie wie nikt, na czele z ministrem pracy i opieki socjalnej? Minister zaś zna na pewno jedno, to opanował perfekcyjnie: wysokość stawki opłacającego się kandydata na emeryta.

Może jednak zasada utrzymywania kandydata w pełnej nieświadomości, owa zakryta szczelnie tajemnica wysokości przyszłej emerytury jest zasadą błogosławioną, wynikającą z miłości do bliźniego swego. Bo tajemnice tego rodzaju przynajmniej nie rozwiewają iluzji złudzeń. Pomarzyć dzięki nim się da podczas złych nocy, spędzonych na obliczaniu resztówki po każdym dziesiątym każdego miesiąca: na co, do cholery, to starczy? Więc nisko się w tym miejscu kłaniam wszystkim tym, którzy nie obdzierają mnie z onych pięknych marzeń, że jesień życia będę miała cichą i pogodną.

Po co mi wiedzieć już teraz, zaraz: za ile się opłacam?, kość ci zostanie rzucona w odpowiednim czasie, Anno-Mario i zobaczysz wtedy, jak bardzo się nią najesz.

Mój znajomy rzemieślnik, starszy pan z wyższym wykształceniem, rzemieślnikiem został z pobudek ideowych. Tak był zagorzałym i zdecydowanym przeciwnikiem ustroju i PRL już od wczesnej młodości, dawno przed tym, nim się zawiązał KOR czy jemu podobne struktury, że nie chciał na socjalistycznej posadzie od socjalistycznego państwa otrzymywać socjalistycznego wynagrodzenia. Dlatego założył warsztat: za własną pracę u siebie własne pieniądze. Był to skromny warsztat, w którym nie zatrudniał „siły najemnej"; ile jego ręce wyrobiły, tyle miał. Były to pracowite ręce, zarabiał nimi na mniej więcej przyzwoite życie, a jego snobizm posiadania ograniczył się do malucha. Pół roku temu po raz pierwszy odebrał przekaz ze swoją emeryturą. Karetką na sygnale odwieziono go do szpitala, emerytura wyrażała się kwotą czterystu pięćdziesięciu tysięcy złotych, naliczonych w nowym, wyczekiwanym przez niego wolnym od komuny państwie. Zawał był rozległy, ale przeżył. Niedawno otrzymał podwyżkę. Ma teraz aż sześćset. Anonimowo odsyła ten dar: „jałmużnę" – mówi – na dom starców. Twierdzi, że się obejdzie. Trochę odłożył na książeczkę terminową. Potrzeby ma niewielkie. Ale przez całe życie był niezależny i takim pozostanie do jego końca.

Posuwam się więc w tej kolejce, która głównie składa się z przedstawicieli rzemiosła. Za mną dwaj panowie.

– *Popatrz* – jeden do drugiego – *jaka milcząca ta kolejka...*

– *A o czym tu mówić?* – odpowiada ten drugi.

– *O czymkolwiek* – mówi ten pierwszy.

– *Już się i o czymkolwiek nie chce* – odpowiada ten drugi.

Rzeczywiście: jaka milcząca ta kolejka! Cierpliwie, krok po kroczku pomniejszająca odległości do kasy. Nikt z nikim się nie kłóci. Nikt przed nikogo się nie wpycha. Nikt nawet nikomu nie depcze po odciskach.

– *Byłem w niedzielę na giełdzie* – odzywa się znowu ten pierwszy.

– *Ach, tak?* – mówi bez zainteresowania ten drugi.

– *Sprzedałem wreszcie swego grata* – mówi ten pierwszy.

– *Za ile?* – ożywia się ten drugi.

– *Starczy na dwie przyszłe raty kredytu do zapłacenia* – mówi ten pierwszy.

– *No tak* – mówi ten drugi ze znużeniem. I obaj panowie już milczą aż do samej kasy.

Płacę swoją składkę, wychodzę na żar, który leje się z nieba. Idę na przystanek tramwajowy. Minęły dla mnie te czasy, w których stać mnie było na utrzymanie swojej, wtedy o dwie osoby większej rodziny, mieszkania i samochodu. Teraz po dwudziestu latach posiadania samochodu, musiałam z takiego luksusu zrezygnować. Po co mi samochód, skoro nie stać mnie na benzynę i na tyle, tyle innych rzeczy, jak chociażby wyjazd na urlop? Tylko że ja nie tracę nadziei. Wierzę w swoją świetlaną przyszłość. W dobry omen, łut szczęścia. Możliwości przede mną są wielkie. Co otwieram jakąś gazetę, to o nich czytam, o tych możliwościach. *„Marzysz o samochodzie? – kup cegiełkę parafii p. w. Ducha Świętego i Fundacji Telewizji Koszalin"*.

No proszę, jaka okazja dostępna w kioskach Ruchu za dwadzieścia tysięcy złotych! Za jedną dwudziestkę mam szansę wygrać nie tylko zwykłego malucha, ale i poloneza. Gdybym tak na przykład wygrała poloneza, to go natychmiast opylam, kupuję malucha, a ta reszta mi starcza na jakiś czas na opłaty ubezpieczeniowe oraz na benzynę. Główka pracuje, prawda?

Gdybym miała lepsze rozeznanie polityczne – kto z kim i dlaczego? – wzięłabym udział w zgaduj-zgaduli reklamowej pod hasłem: kto zostanie premierem po nowych wyborach? Taka wygrana (ćwierć miliarda!), załatwiłaby mi nie tylko luksus posiadania samochodu, ale mogłabym wyleczyć ubytki w zębach u samego dr. Sokołowskiego, naprawić nareszcie popsutą przed pół rokiem pralkę-automat, odremontować mieszkanie, wyrzucić stare łachy z szafy, zakupić nowe, eleganckie, i nawet raz na tydzień latać po fryzjerach. Ale tu nie mam się po co przymierzać. Za słaba jestem w polityce, nie nadążam nawet za kolejnymi oświadczeniami głowy RP.

Najbardziej wszakże realną szansę dla siebie upatruję w nowej akcji Polmozbytu. Jak już wszyscy łodzianie zapewne wiedzą, nasz prezydent, Grzegorz Palka, otrzymał właśnie od tegoż Polmozbytu samochód marki Hyundai-Sonata. Do testowania, proszę nie mieć skojarzeń. Tak więc sobie myślę, że przecież pan prezydent to po pierwsze: ma służbowy samochód ze służbowym kierowcą; po drugie: jako prezydent miasta, w którym tyle bankructw już zaistniałych, a tyle fabryk przed bankructwem, i tylu bezrobotnych, no i w ogóle – problemów masa, pracy masa, to kiedy znajdzie czas na testowanie? Ja, jako zwykła, szeregowa dziennikarka, nie piastująca żadnego stanowiska, mam chyba więcej czasu. Nie muszę długo testować. Aby przez jesień. Bo my, ja z synem, bardzo lubimy polską jesień. Ta jesień bez własnego samochodu będzie pierwszą jesienią w naszym życiu bez lasu i bez grzybobrania.

Kwalifikacje do testowania posiadam: prawo jazdy czynne od 1966 do wiosny 1991. Praktyka: około pół miliona przejechanych kilometrów. Polecam się.

Anna-Maria

E. L. Skalnik Z tygodnia na tydzień (9)

Trzy pokoje z kuchnią w starym budownictwie

– *Słodki Jezu!* – zastękał Paweł, dotykając szyi – *Człowieku, ale ty masz krzepę! O małoś mnie nie udusił! Cholera, przecież ja nie wiedziałem, że to twoja siostra. Na czole tego nie miała napisane.*

– *Stul pysk* – spojrzał z obrzydzeniem na tę kupę sadła. Paweł wciskał się w fotel, sponiewierany, oklapły i wymięty, łyskając białym brzuchem spod rozdartej koszuli. Z kitki spadła ściągająca ją gumka, rzadkie włosy mysiego koloru zwisały przepoconymi strąkami na gruby, nalany kark. W małych oczkach jeszcze czaił się strach, jeszcze były nim zwężone źrenice, lecz na wywinięte, pulchne wargi wypełzał wąski uśmieszek.

– *Gdybym ja wiedział, stary, że Joaśka...* – i nagle te pulchne, różowe, wilgotne od śliny wargi rozchyliły się jakby smakując wraz z wymówionym imieniem wspomnienie o czymś, co musiało być wyjątkowo rajcujące. Cmoknęły raz i drugi, rozgniatając biały bąbelek lepkiej śliny – *Bo ja naprawdę, przysięgam.*

– *Zamknij się, mówię!* – rzucił przez zaciśnięte zęby Andrzej. Co za bydlę!, należało tego sukinsyna przydusić mocniej. Żeby te jego zaślinione wargi zajęczały w prośbie o litość. Żeby to tłuste ryło posiniało. Co on z nią wyprawiał, bydlak, jakie wspomnienie o siostrze każe mu się uśmiechać tak plugawie i tak dwuznacznie? Joanna, coś ty zrobiła, do kurwy nędzy! – pomyślał Andrzej. Zobaczył siostrę pod cielskiem Pawła. Pod tym sapiącym kałdunem z wielkimi, klapiącymi pośladkami. Widywał je nie raz i nie dwa w akcji. Mało się tu, w „domeczku", lub u Pawła w Łagiewnikach odbywało orgietek z panienkami od Walentino? Mało to różnych rzeczy się oglądało w tych czterech ścianach? Czego się to nie wymyślało podczas pląsów i harców w pijanym widzie, lecz wszystko to było niemal małe piwo wobec emocji, jakich dostarczał widok tej kupy sadła, ujeżdżającej panienkę. Takiego widoku nawet Walentino w swoich nielegalnych pornuchach by nie wymyślił. Jak więc pojąć, jak ogarnąć rozumem, że Joanna, jego siostra, z tym tutaj? Nie do zrozumienia nawet i teraz, chociaż się o tym wie. Co się wie, kurwa?, co? Nic się nie wie. Lub prawie nic. Niewiele w każdym razie. Ale można się dowiedzieć. – Andrzej poczuł lodowaty chłód przesuwający się wzdłuż kręgosłupa – Joanna jest niewinna. To ofiara, splugawiona przez tego bydlaka. Zwabił ją na jakieś nędzne bajery do swojej chaty. Taką naiwną, głupiutką, niedoświadczoną dziewczynę łatwo otumanić. Otumanił, zwabił. Spoił do nieprzytomności, że nie wiedziała, co z nią wyprawia. Albo ją zgwałcił.

Andrzej podszedł do barku. Miał trudności z utrzymaniem butelki, tak bardzo zdrętwiały mu palce. Ale utrzymał. Nalał. Dwa potężne koniaki. Dla siebie i dla tego tam.

– *Przepraszam, stary. Poniosło mnie. Sam rozumiesz: w końcu to rodzona siostra. Więc jak obuchem w łeb.*

– *E?* – zapytał niedowierzająco Paweł.

– *Golnijmy sobie. Na zgodę.*

– *Cholera, aleś ty narwaniec. Jeszcze czuję twoje paluchy na swoim gardle.*

– *Zawsze byłem wybuchowy* – mruknął Andrzej – *No, wypij. Bez urazy, stary.*

– *Cholera, na drugi raz przyjadę do ciebie z gorylem* – zasapał Paweł. Spojrzał na Andrzeja, na lampkę z koniakiem, zasapał znowu, już pojednawczo – *No dobra. Bez urazy. Tylko koszuli za pół bańki szkoda. Popatrz, jak rozdarłeś.*

– *Ja tobie koszulę, ty mi siostrę. Jesteśmy kwita.*

– *Przysięgam raz jeszcze, że nie wiedziałem. Żeby mi choć słówkiem pisnęła.*

– *Pod taką łapą jak twoja?*

– *A ty co znowu?*

– *Staram się cię zrozumieć, stary* – Andrzej sączył swój koniak wolno, jakby od niechcenia – *Bo wiesz, stary, mnie na przykład ostatnio w ogóle nie wychodzi z dupami. W przeciwieństwie do ciebie, który gotowy do skoku trzy razy na dzień na stojąco i siedząco. A mnie się narobiło, że nie mogę. Towar za łatwy, za dużo go, czy diabli wiedzą co. Więc czasem myślę sobie tak: a gdyby poderwać taką niewinną, nie umalowaną, taką – stary, która się nie puszcza, nie wskakuje ci od razu do łóżka. Taką czystą, jasną, najlepiej z długim warkoczem przez plecy...*

– *I skąd byś taką wytrzasnął, jasną i czystą z warkoczem przez plecy na dodatek?* – rozrechotał się Paweł – *A to dobre: z warkoczem mu się zachciało. Romantyk, psiakrew. Ha, ha, ha!, aleś mnie ubawił, stary! Nalej jeszcze! Za tę twoją czystą i jasną z warkoczem.*

– *Czemu nie? Naleję. Nie żałuję kumplowi. Ani koniaczku, ani siostry.*

– *Znowu o Joaśce? Po raz który mam przysięgać, że nie wiedziałem?*

– *A gdybyś wiedział?*

– *Za kogo mnie masz?* – obruszył się Paweł – *Palcem bym jej nie tknął. Uwierz mi wreszcie, stary.*

– *Ależ ja ci wierzę, wierzę* – Andrzej usączył łyczek; koniak załaskotał w gardle dziwnie piekliwą goryczką – *Na twoim miejscu, gdyby mi taka siksa podpadła, taka ładna, świeża, naiwna, głupiutka gąseczka, jak ty je nazywasz, też bym nie przepuścił.*

– *A widzisz!* – ucieszył się Paweł.

– *Aż pachnie od takiej świeżością. Odmiana stylu. Dziwki się zna na pamięć, do obrzygania, ale z taką? prawda, stary? to jest to! Więc zabajerować głupiutką gąseczkę na volvo, przejedziemy się tylko, proszę się nie obawiać, czy coś złego może panią spotkać podczas niewinnej przejażdżki?, proszę mi zaufać, moja mała, jestem poważnym facetem, biznesmenem...* – mówił Andrzej, bawiąc się niedbale lampką z koniakiem – *Wprowadzić pod byle pretekstem do chaty. Najpierw rozmowa, niezobowiązująca, jakaś muzyczka nastrojowa, zatańczymy, moja mała? Pani jest taka śliczna, inna, świeża... A potem niech się opiera, niech się broni, szarpie, robi te swoje przerażone minki, płacze, prosi: błagam, niech mnie pan wypuści, niech mi pan nie robi krzywdy; to dopiero doznanie, niepowtarzalne, jeszcze takiego się nie przeżywało, dziwki nie robią minek, nie szarpią się, nie bronią tak podniecająco, nie zaciskają kolan, ud; nie odpychają rąk od swoich piersi, och tak, tak! to jest to!, ten strach, te łzy, ten opór młodego ciała, i ten ból, jaki mu zadajesz jest też prawdziwy, nie udawany, prawda, mój stary? dobrze mówię? tak się to odbyło?*

– *Świr!* – krzyknął z przestrachem Paweł – *Kompletny!*

– *Może i świr, stary.* – odparł ze spokojem Andrzej. – *Ale gdyby ci twój kumpel zgwałcił twoją rodzoną, kochaną przez ciebie, nieletnią siostrę, to może też dostałbyś świra.*

– *Słodki Jezu, ratuj! Coś ty wykombinował? Opamiętaj się, cholera! Ja jej nie gwałciłem, tej Joaśki!*

– *Boisz się. Pocisz się. Niepotrzebnie. Nie tknę cię palcem. Nie uderzę. Tylko się przyznaj. Bo to porządna dziewczyna. Zdolna. Dobra. Była czysta. Nietknięta. Nie wypieraj się więc. To ci nie pomoże. Powiedz całą prawdę.*

– *Stary, kurwa, opamiętaj się! Coś ty sobie umyślił? W co ty mnie wrabiasz?*

– *A ty bydlaku, chcesz mi powiedzieć, że moja siostra poszła z tobą na chatę jak pierwsza lepsza dziwka? Albo że zakochała się w tobie od pierwszego wejrzenia? Spójrz na siebie, kałdunie podstarzały, z tobą żadna już do łóżka inaczej nie pójdzie jak za forsę albo dla forsy!*

– *No nie!* – krzyknął Paweł – *Mam dość tej całej psychodramy! Zabij mnie tu, świrze jeden, ale w gwałt nie dam się wpuścić! Różne tam takie się ma na sumieniu zagrywy, lecz co to, to nie! Bo i po co, świrze? zastanów się! jeśli ci się same podkładają? Chciałbyś, żeby ci to powiedzieć, potrzebujesz dla podtrzymania swego nieskazitelnego wizerunku siostruni, a to lepsza cwaniara, ona i ciebie do wiatru wystawiła! Ty, świrze, nawet nie wiesz, że sypiała ze mną od kilku miesięcy!*

– *Łżesz!*

– *A co? nie pochwaliła się swemu braciszkowi? Tak, kumpel, regularnie, trzy razy na tydzień od kilku miesięcy! I co ty na to? Teraz ty się pocisz, widzę.*

– *Łżesz jak pies!*

– *Cholera, w jakim celu, potrafisz wytłumaczyć? Powiem ci więcej, świrze jeden, o tej twojej siostrze! Rzeczywiście, nie wyglądała na taką. To prawda. Wziąłem ją do samochodu. Fakt, na volvo łatwo się podrywa. Robiłem takie numery. Zawsze się udawały. Zabrałem i Joaśkę do Łagiewnik. Była spłoszona jak sarna. Napaliłem się cholernie. Wypiła dwa martini z tonikiem i... No cóż, sam mówiłeś, że i ty byłbyś nie od tego. Potem płakała. Wstydziła się. Tak jakoś prawdziwie, wzruszająco. Cholera, wzięło mnie. Jasny gwint, pomyślałem, to porządna dziewczyna. Skrzywdziłeś porządną dziewczynę, bydlaku. Ludzie, mnie się trafiła porządna dziewczyna! Taka by mi się nadała na żonę. Byłbym jej pewny, że się nie zacznie puszczać. Człowiek potrzebuje mieć kogoś bliskiego. Rodzina, dom prawdziwy, cholera, będę to miał. Będę wracał do chaty, a w nim własna żona. Bo tak zawsze jakieś dziwki. Dziwki odchodzą, zostaje się samemu. Głupio. Źle. Ale mnie już raz jedna oszwabiła, pamiętasz przecież tę historię z Baśką. No, a tu Joasia. Podchowam ją sobie, posprawdzam najpierw. Jak się człowiek raz sparzy, to i na zimne dmucha, co nie? Zostawiałem szmal na widoku, otwarte szuflady. Obiecywałem futra, inne takie przynęty. Na Seszele pojedziemy, chcesz że mną na Seszele? Trzepotała rzęsami, rumieniła się: ee, po co mi, mnie tu z tobą dobrze. Była więc okey. Ani forsy nie podskubała, ani te Seszele jakby nie brały. Więc to ta właśnie. Cholera, stary, powiem ci tę twoją całą zasraną prawdę do końca: byłem szczęśliwy. Moja mała gąseczka jak cud, że akurat mnie spotkał? Aż mi tu nagle zasunęła tym swoim niewinnym, słodkim głosikiem, że ciąża. Jezu, ten sam numer mi wykręciła co tamta! Dokładnie, identiko. Zapytałem, za ile jest ze mną w ciąży? Cholera, Andrzej!, i ciągle miałem nadzieję, że się ta moja gąseczka rozpłacze bezradnie, przytuli, lecz ona nie! Myślała, że jest taka cwana, powtórzyła znowu numer Baśki, identiko, tak samo udawała oburzoną, nawet w pysk mi przywaliła. Identiko, Andrzej, jakbym Baśkę widział. Pamiętasz, jak się wtedy cieszyłem, że Baśka i moje dziecko?... Głupi skurwysyn cieszył się jakby mu kto bank podarował. Słodki Jezu, łaziłem po ścianach, gdy mi powiedziała, że niby poroniła.* – zachrypiał Paweł, zakołysał się w fotelu – *a ta kurwa w żadnej ciąży, wszystko lipa, nawet wychodzić za mnie nie chciała, kurwa jedna, za ciebie? za takiego brzuchacza?, ale będziesz mi płacił, mam na ciebie haka, piękne zaświadczonko lekarskie, że przez ciebie jestem bezpłodna. Słodki Jezu, a teraz ta niby moja gąseczka zaczyna z tej samej beczki. To ty mi powiedz, kumpel, kto tu kogo wykiwał? Gdzie ta twoja zbrukana niewinność, co?*

Zachrzęściło miażdżone szkło. Ręka Andrzeja oblała się natychmiast krwią. Nie czując bólu, nie widząc krwi, ruszył do barku. Przechylił butelkę. Zabulgotał koniakiem, wlewanym wprost do gardła.

Cdn.

Maria, czyli kwadratura seksu

W dzisiejszym odcinku prezentujemy dalszy ciąg spowiedzi Marii. Przypomnijmy, że jej wyznania czynione byłym mężom, dotyczą wspomnień z wczesnego dzieciństwa. Dziewczynka z bogatego domu, porwana dla okupu, przechodzi pierwsze erotyczne wtajemniczenie.

Krytyk literacki, ale także psychoanalityk, może się w przedstawionej poniżej scenie doszukać wielu symboli, które legły u podstaw współczesnej kultury doznając sublimacji w judejskim, a nawet chrześcijańskim systemie wartości. Mamy tu przecież wyrazistą scenę kuszenia. Dawno już zwrócono uwagę, że rajski wąż ma kształt falliczny. To ciekawość popycha pramatkę do grzechu pierworodnego. Adam zostaje przeklęty, gdyż uległ kobiecie.

U Johna L. Cocka postawiony zostaje znak równości pomiędzy naruszeniem tabu cielesnego i moralnego zakazu. Ta wyrazista aluzja do III rozdziału „Genesis" znajduje w powieści szokującą egzemplifikację. Ale też „grzech pierworodny" stanie się przekleństwem dojrzałej już Marii, bez tej zaszłości nie byłaby tragiczna, tylko co najwyżej wyuzdana. A tragizm to już kategoria artystyczna.

kf

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu. Byłam podniecona i zaciekawiona, chciałam rozmawiać o tym, co się zdarzyło, aby w ten sposób przedłużyć tę błogość. Ale nie wiedziałam, co powiedzieć. I wtedy nasunęło mi się na pamięć coś, co usłyszałam kiedyś w szkole. Zapytałam:

– *George, czy tak się właśnie robi dzieci?*

Przestraszył się.

– *Dzieci? To ty nic nie wiesz o dzieciach?*

– *Nie* – potrząsnęłam głową. I to była prawda. Będąc córką bogacza, żyłam jakby w schronie; surowa guwernantka nigdy nie rozmawiała ze mną o takich sprawach. Moja o nich wiedza ograniczała się do zasłyszeń przyniesionych ze szkoły. I nie byłam, jak dotąd, specjalnie zainteresowana nimi, tak więc niewiele przykładałam uwagi nawet do tego, co usłyszałam.

– *Obawiam się, że nie wiem nic zupełnie o tym, jak się robi dzieci* – wyznałam w nagłym przypływie szczerości. *Jedna dziewczyna powiedziała mi kiedyś, że mężczyzna robi coś kobiecie, aby się urodziło dziecko, więc myślałam...*

– *To straszny wstyd* – stwierdził George – *żeby taka bystra mała dziewczynka żyła i rosła w całkowitej nieświadomości realiów życia.*

Chciał cofnąć rękę, ale położyłam swoją dłoń na jego dłoni, aby ją zatrzymać.

– *No to pewnie będę miała z tobą dziecko, George. Nic mi nie będzie przeszkadzało, jeśli będzie takie brzydkie jak ty, byle było równie miłe.*

George aż odrzucił głowę zanosząc się serdecznym śmiechem. Ale potem spoważniał.

– *Mario, po pierwsze, to co robiliśmy dotąd nie stworzy dziecka nawet przez milion lat. Po wtóre, musisz stać się dorosłą kobietą, aby odegrać w tym swą rolę. Na razie jesteś dosyć bezpieczna.*

– *No to jak ludzie zostają ojcami i matkami?* – spytałam. – *George, wytłumacz mi.*

Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę.

– *Nie robisz mnie w konia? Naprawdę nie wiesz?*

– *Chciałabym wiedzieć* – odparłam oburzona – *W końcu wolałabym nie mieć dziecka nie wiedząc, że je sobie zafundowałam. Naturalnie, kiedy już będę duża.*

Znów się pogłaskał po głowie.

– *Nie, myślę, że ci się to nie zdarzy.*

No i powiedział mi wszystko, powoli i cierpliwie, zdjąwszy ze mnie rękę i odsunąwszy się z krzesłem do łóżka. Mówił używając słów dokładnych, ale takich, które mogłam zrozumieć. Słuchałam chciwie, wkraczając w otwierające się przede mną nowe dziedziny, które zakazy narzucane przez dorosłych zamykały dotąd przede mną. Zdziwiło mnie, jak wiele już właściwie o tych sprawach wiedziałam, teraz zbierałam tę rozproszoną wiedzę w całość. Kiedy skończył, leżałam wpatrzona w sufit, mój umysł porządkował uzyskaną wiedzę w jasne formy świadomości.

– *To po prostu wspaniałe, George* – powiedziałam wreszcie. *Przyznaj, że to wspaniałe.*

– *Całkiem fajne, w istocie. Przynajmniej dla większości ludzi.*

– *To dlaczego ludzie zachowują się w tych sprawach tak śmiesznie i każą się ich wstydzić?* – Usiadłam na łóżku. – *George, pokaż mi swojego.*

Wydawał się zaskoczony.

– *Wybacz, Mario* – zająknął się – *nie mogę tego zrobić.*

Spojrzałam na niego.

– *Widziałeś przecież moją. Więc dlaczego ja nie miałabym zobaczyć twojego?*

– *Widzisz, to nie to samo. Zupełnie nie to samo.*

Opadłam na pościel.

– *To nie jest w porządku, George. Opowiedziałeś mi wszystko o tym, i jakie to jest piękne, i w ogóle. A teraz nie chcesz mi go pokazać.*

– *Mario...* – wyrzekł niepewnie.

Łzy stanęły mi w oczach. Ogarnęło mnie nagle rozżalenie – na siebie samą, na George'a, na moje życie, zanim go spotkałam. – *Chcę do domu* – chlipnęłam. – *Sprzykrzyło mi się to przebywanie tu z tobą. Chcę do tatusia... Chcę...*

Jego ciężkie ciało przygniotło materac. Pochylił się nade mną, podłożył mi ciepłą dłoń pod brzuch i odwrócił mnie twarzą ku sobie.

– *Mario* – powiedział proszącym tonem – *Mario, kochanie, nie płacz.*

Patrzyłam na niego przez łzy, wyglądał jak w tęczy.

– *No to pokażesz mi go? Pokażesz?*

Twarz mu zmroczniała.

– *Dziecinko, nie wiesz, że igrasz z ogniem. Ale skoro prosisz...*

Uniosłam się z ożywieniem, łzy spłynęły mi z oczu. Wstał i odwrócił się. Jego dłonie poruszyły się, schowały za jego sylwetką, a potem pokazał mi go powoli, bardzo powoli.

Zdębiałam. Nigdy nie widziałam u chłopca, a co dopiero u mężczyzny. Wystawał mu z rozporka jak wielka maczuga o głowicy czerwonej i lśniącej. Mogłam dostrzec niebieską żyłę, pulsującą i podobną do węża, rozciągniętą wzdłuż całej jego długości i niknącą w grubych, skręconych włosach.

– *Czy mogłabym... czy mogłabym dotknąć?*

Nie zabronił, więc nieśmiało wyciągnęłam rękę i przytknęłam palec do zagadkowego małego oczka. Wyczułam malutką kropelkę wilgoci, która znikła zaraz pod moim dotykiem.

Rys. Dariusz Romanowicz

Westchnął ciężko, ja też westchnęłam i spojrzałam mu w oczy.

– *Czy ci przyjemnie?* – spytałam niewinnie – *czy ci tak przyjemnie jak mnie, kiedy mnie dotykałeś?*

– *Tak* – odpowiedział najbardziej zduszonym głosem, jaki u niego słyszałam – *tak, o Boże.*

Objęłam mu ręką. Był ciepły i twardy, tak wspaniale wielki w mej piąstce. Postąpił o krok ku mnie, potem jeszcze o krok, napierając na moją pięść tak, że skórka odsunęła się pod moją dłonią, i wielka głowica naprężyła się i wysunęła z mojego uchwytu, jakbym trzymała w ręce węża.

Cofnął się o krok, tak że moja pięść przesunęła się ku przodowi. Zrozumiałam nagle, że mam poruszać ręką, w przód i w tył, patrząc, jak głowica czerwienieje i olbrzymieje w miarę tych ruchów. Daleko gdzieś za polem widzenia majaczyła mi jego twarz skupiona i napięta.

Powstrzymałam ruch ręki, owładnięta inną myślą.

– *George, pokaż mi dokładnie, jak się robi dziecko.*

Spojrzał na mnie z góry. Usta miał otwarte, słyszałam jego przyspieszony oddech, zakręcił biodrami.

– *Nie możemy tego zrobić* – powiedział – *jeszcze nie jesteś dość duża.*

Usiadłam podekscytowana.

– *Ależ jestem, George. Sam powiedziałeś, że dojrzewam wcześniej, zanim mogę rzeczywiście urodzić dziecko. Więc możesz mi pokazać, jak to się robi, bez żadnego ryzyka. Nie uważasz?*

Niezgrabnie przysiadł na łóżku. Przełożył rękę przeze mnie i zbliżył twarz do mojej twarzy.

– *Rzecz w tym, Mario, że to by cię zraniło.* – powiedział. – *Bolałoby potwornie, bardziej niż możesz sobie wyobrazić. On musiałby cały wbić się w ciebie, nie tylko muskać cię po wierzchu, jak palec, i nie jesteś jeszcze tam, na dole, dostatecznie rozwinięta.*

– *W porządku, George* – powiedziałam odważnie. – *Wiem, że przecież przestaniesz, kiedy to zacznie boleć za bardzo.*

Potrząsnął głową.

– *To nie takie proste, Mario, nie mógłbym tak nagle przestać, gdybym zaczął* – przerwał, patrząc mi w oczy. – *Widzisz, Mario, jestem większy niż inni mężczyźni, jestem tak wielki, że czasem ranię dorosłe kobiety.*

Twarz mu nagle poszarzała i postarzała się jakby wypłynęły na jej powierzchnię wszystkie smutki jego życia.

– *Kobiety właśnie dlatego nie chcą zazwyczaj mieć ze mną do czynienia. Nawet te, którym chcę zapłacić, oglądają mnie i...*

Jego wyznanie przejęło mnie współczuciem, usiadłam więc i pocałowałam go w usta. Wargi miał ciepłe i miękkie i był to całus tak przyjemny, że pocałowałam go znów, i znów, a uścisk jego ramion zacisnął się wokół mnie.

– *Ale jesteś taki miły, George, że kobiety powinny cię kochać, kochać tak jak ja.*

Usta mu się skrzywiły.

– *Na początku mnie nawet lubią, ale wszystko rozbija się o moje rozmiary. Kobiety mi mówią, że staję się wtedy zbyt dziki, zbyt zwariowany, że zadaję im ból, krwawią i płaczą, i uciekają ode mnie.*

Oddech mu się wydłużył.

– *Postanowiłem więc już nigdy nie próbować. Nawet nie próbować.*

Leżałam w jego uścisku i rozmyślałam. Spotkał mnie zawód. Z całą pewnością nie chciałam, żeby mnie bolało, zwłaszcza żeby mnie bolało tam na dole. Próbowałam sobie wyobrazić, co by to było, gdyby ten ogromny suchy badyl wbijał się we mnie. Ale naprawdę nie byłam w stanie nawet sobie tego uzmysłowić.

– *Chciałabym przynajmniej zobaczyć surowiec, z którego wyrabia się dzieci* – powiedziałam po chwili. – *Ten biały surowiec, o którym mi opowiadałeś.*

Ułożył mnie na pościeli i przytulił się do mnie.

– *Zgoda, to ci mogę pokazać, jeśli rzeczywiście chcesz. Ale czy jesteś pewna, że chcesz?*

Znów się podniosłam, podniecona:

– *Naprawdę mogę?*

– *Tak, tylko musisz... musisz go znów dotykać, tak jak przedtem. I musisz to robić szybko, bez przerwy, aż do... Rozumiesz?*

– *Oczywiście, że rozumiem. I sprawi ci to przyjemność, prawda? Tak jak twój palec przyniósł przyjemność mnie?*

Zdziwiło mnie, że nie chciał dokładniej objaśnić mi tego, co miało się stać. Stanął nade mną i wysunął do przodu biodra. Ujęłam mu w rękę i zaczęłam pompować, coraz szybciej i szybciej, słysząc, jak jego oddech dostraja się do tego rytmu, stając coraz głośniejszy i głośniejszy, aż nagle biały surowiec wytrysnął ponad moją głową i opryskał mi całą twarz. Czułam pulsowanie mięśni w mej zaciśniętej dłoni w miarę, jak wypływała owa biała ciecz.

Spojrzałam na umazaną nią rękę i powiedziałam ze zdziwieniem:

– *Więc to z tego powstają dzieci.*

– *Tak* – potwierdził George. – *Tyle, że kobieta, jak ci już mówiłem, musi mieć w sobie gotowe jajeczko. Tysiące małych plemników, które nazywamy spermą, wpływają w nią do środka, jeden natrafia na to jajeczko i dalej rozwijają się razem...*

Zebrałam trochę nasienia na palec drugiej, czystej ręki i nie wiedząc co robię przytknęłam ten palec do ust. Smakowało dziwnie, trochę dziko i przypominało ocean przy odpływie, kiedy odczuwa się zapach dna morskiego.

Schował miękkiego już, do rozporka.

– *No, na razie starczy. Idź umyj ręce.*

– *Ale ja chcę to sobie zachować. Chciałabym z tym zasnąć...*

– *Rób co ci mówię. No już...*

Słysząc stanowczy ton w jego głosie, poszłam do łazienki. Kiedy wróciłam, zastałam George'a siedzącego na krześle. Miałam wrażenie, że czuje się równie dobrze jak ja.

– *No i co, fajnie było?* – spytałam naiwnie. – *Tak fajnie jak mnie przedtem?*

– *Nawet nie wiesz jak* – odpowiedział z uśmiechem.

– *To może byśmy powtórzyli?* – zagadnęłam zaczepnie. – *Róbmy to ciągle, raz po razie, najpierw ty mnie, a potem...*

Przerwałam widząc, że znowu zmarkotniał.

– *Co się stało?*

– Patrzył na swoje ręce unikając mojego wzroku.

– *Mario* – głos mu się załamał, ale zaczął ponownie: – *Mario, jak nie chciałem do tego dopuścić. To nie w porządku, jesteś małą dziewczynką i wszystko...*

– *Ale to fajne* – przerwałam. – *Ja to lubię. I ty to lubisz. A nie mamy tutaj ani telewizji, ani niczego...*

Uśmiechnął się krzywo.

– *Może mi się uda zdobyć dla ciebie telewizor. Rzecz w tym, że jeśli ludzie się dowiedzą, że cię tknąłem, i że pozwoliłem tobie mnie dotykać, stanie się coś tak strasznego, że nawet nie umiesz sobie tego wyobrazić.*

– *Ale przecież nikt o tym nie wie, nikt oprócz nas samych.*

– *A kiedy wrócisz do domu i będą ci zadawać tysiące pytań, jak cię traktowano i co cię spotkało...*

– *Nic nie powiem* – wyrzekłam z mocą. – *Przyrzekam, George. Na śmierć i życie!* – Przyjrzałam mu się uważnie. – *No to nie musimy przestawać, co? Jeżeli przyrzekam nic nie wygadać?*

Patrzył na mnie ciągle z rosnącą troską.

– *Jesteś jeszcze dzieckiem, Mario. Nigdy nie przypuszczałem, że się stanę facetem zadającym się z małym dziewczynkami. Bóg mi świadkiem, że dorosłe baby sprawiają dosyć kłopotu...*

Przerwał, a po chwili dodał:

– *Ale jesteś tak niezwykłą dziewczynką, Mario. Tak niewinną, tak śliczną, że...* – I po dalszej chwili: – *Spodobało ci się to, prawda? Nie bolało cię, nie nastraszyłem cię, ani ci nie zrobiłem żadnej krzywdy, kiedy ci tam włożyłem palec, prawda?*

Chciałam go jakoś uspokoić i pocieszyć, wstałam więc z łóżka, usiadłam mu na kolanach i objęłam za szyję. Przywarłam ustami do grubej, porowatej skóry na karku. Wziął mnie w ramiona i przycisnął do siebie tak mocno, że nie mogłam oddychać. Wysunęłam się więc z jego objęć i stanęłam między jego kolanami. Ocierałam się o jego krocze wiedząc nie wiadomo skąd, że jeśli go będę dotykać wyczuję nogami jego wielki, twardy pręt. I wyczuwałam go, poprzez materiał jego spodni i moją nocną koszulę.

– *No i popatrz, George! Popatrz no teraz.*

– *Widzę* – odrzekł zdławionym głosem. Pocałował mnie w usta, delikatnie i czule.

– *Nie chcesz chyba przestać? Nie chcesz nas powstrzymać?*

Odsunął się tak, aby móc spojrzeć mi w oczy.

– *Musimy to przemyśleć* – powiedział. – *Musimy to przemyśleć.*

Cdn.